Rok IV. Lwów, dnia 1 kwietnia 1898. Nr. 7.


# PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

**Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.


## *DEMORALIZACYA POLITYCZNA.*

Coraz częstsze objawy demoralizacyi politycznej w zaborze rosyjskim są, jak już zaznaczyliśmy niejednokotnie, bezpośredniem następstwem polityki ugodowej. W ostatnim okresie walki z uciskiem moskiewskim społeczeństwo wyrobiło sobie odpowiednią do warunków, w jakich żyć i działać musiało, etykę polityczną. Nakazy tej etyki były ściśle przestrzegane nietylko w stosunku do rządu i narodu rosyjskiego, ale i w naszych stosunkach wewnętrznych, w sprawach życia publicznego i prywatnego. »Niewola stuletnia — choć nie upadla, to nie uszlachetnia«; przeciwdziałanie demoralizacyi, której »słudzy niewolników« uniknąć nie mogą, było głównem tej etyki zadaniem. Surowy, często bezwzględny sąd opinii stał na straży przepisów moralności narodowej, potępiał wszelkie przeciw nim wykroczenia, nawet w najlepszej myśli, w chęci służenia sprawie publicznej popełniane. Wrażliwość opinii na te wykroczenia była nawet za wielka, uniemożebniała czasem krytycyzm społeczny i polityczny.

Ma się rozumieć, w stosunkach prywatnych zdarzały się często wykroczenia przeciw kanonom tej etyki i uchodziły bezkarnie, nieraz świadomie były tolerowane, jako konieczne ustępstwa wymaganiom życia praktycznego. Była jednak sfera nietykalna działalności narodowej, nie ograniczona formalnie, ale powszechnie uznana. Otaczała ją »święta bruzda«, wyorana w sumieniu ogółu, niedostrzegalna, jak ta bruzda, która opasywała starą Romę w jej czasach późniejszych, ale tak utrwalona w pamięci wszystkich, tak szanowana za dobrowolną zgodą, że każde jej znieważenie poczytywanem było za świętokradztwo, za zdradę

Istniała sfera nietylko pewnych pojęć i przekonań, zwyczajów i obyczajów, ale i pewnych urządzeń, wytworzonych lub zastosowanych do obrony samodzielności i odrębności życia narodowego, mianowicie tych nielicznych instytucyi, istniejących legalnie lub na wpół-legalnie, które można było nazwać polskiemi, których zadaniem bezpośredniem lub pośredniem było utrzymywanie bytu narodowego w skromnym zakresie pracy kulturalnej, jedynie dostępnej działalności publicznej.

Przyszły historyk naszego społeczeństwa w zaborze rosyjskim nie jedną poświęci kartę tym skromnym i cichym wysiłkom w celu obrony zagrożonego bytu, podniesienia lub chociażby utrzymania na pewnym poziomie kultury narodowej, tej płodnej i ofiarnej pracy organicznej, której znaczenie bezpośrednie, jako programu politycznego, najprzód przeceniono, a później nielitościwie skrytykowano, ale której skutków pośrednich nie oceniono dotychczas należycie. Dziś nie można jeszcze o tej pracy powiedzieć wszystkiego, co jej doniosłość wyjaśnia, wolno mówić o tem tylko co ugodowcy umyślnie na światło dzienne wywlekli, lub co żandarmi rosyjscy przypadkowo przy śledztwach lub przez agentów swoich wykryli. Tych faktów, już właściwie ujawnionych, chociaż nie opublikowanych i ich znaczenia nie ma słusznego powodu ukrywać, owszem należy je raczej ogłaszać dla informowania społeczeństwa polskiego.

Nie pamiętam który socyolog powiedział, że istotą działalności publicznej jest wytwarzanie instytucyj, odpowiadających potrzebom życia zbiorowego. W zaborze rosyjskim twórczość zbiorowa w dziedzinie życia politycznego jest niemożliwą na gruncie legalnym, w dziedzinie spraw społecznych i kulturalnych bardzo ograniczoną. To ograniczenie jej nadawało takim nawet instytucyom, które zajmowały się jedynie sprawami gospodarczemi, lub które wogóle miały specyalny i bardzo szczupły zakres — charakter instytucyi dobra publicznego, instytucyj narodowych, a w dalszej konsekwencyi przywilej nietykalności, jeśli tak wyrazić się wolno.

Polityka rosyjska systematycznie tłumiła i tłumi wszystkie objawy samodzielne naszego życia narodowego, ochranianie więc każdego takiego objawu jest zarazem ochranianiem tego życia od grożącej mu zagłady. Śmiesznem wydać się może przyznawanie takim np. towarzystwom jak wioślarskie lub ogrodnicze charakteru instytucyj narodowych, ale skoro polityka rządu rosyjskiego zaczyna je traktować przedewszystkiem jako polskie, skoro zaczyna wywierać nacisk na ich stosunki wewnętrzne i działalność, to nawet tego rodzaju towarzystwa stają się instytucyami narodowemi. W zaboborze rosyjskim, z większą słusznością niż w zaborze pruskim, każde towarzystwo, które jest polskiem, każda działalność zbiorowa, mająca na celu zadość uczynienie dążeniom i potrzebom społeczeństwa polskiego, przez to samo i tylko przez to, że są polskiemi, mają w pewnej mierze znaczenie polityczne, właściwie — narodowe.

Pojmowała to świadomie lub bezwiednie odczuwała inteligencya polska w zaborze rosujskim i dla tego opinia publiczna zgodnie przyznawała instytucyom i działalności zbiorowej, mającym charakter pracy narodowej, przywilej, z którego niejednokrotnie niewłaściwie korzystano, którego nawet nadużywano.

Miało to niewątpliwie ujemne nieraz skutki, które wyższe względy dobra ogólnego nakazywały tolerować. Zresztą w opinii publicznej wyrobiło się jakby instynktowne poczucie: co i kiedy o działalności tego rodzaju mówić wolno, co powinno być w niej jawnem i podlegającem krytyce, a co trzeba osłaniać i ochraniać. W poszczególnych wypadkach to poczucie było prawie nieomylnem, niemal nigdy nie zawodziło. Pisma, bez względu na ich przekonania, z tej nieumówionej ale powszechnie uznanej solidarności nie wyłamywały się, je-

żeli się zaś to zdarzało, to bywało zazwyczaj następstwem braku doświadczenia, lub zbyt krewkiej gorliwości o dobro publiczne.

Organy demokratyczne i postępowe, zajmujące w sprawach społecznych stanowisko krytyczne, musiały zapęd swój najsilniej hamować, co za tym większą poczytać im należy zasługę, że instytucye, w pewnym zakresie ich działania przywilejem nietykalności ze względów politycznych obdarzone, znajdowały się niemal wszystkie pod kierownictwem lub wpływem sfer zachowawczych. Krytykowano, czasem nawet ostro, działalność tych instytucyi, ale zawsze w pewnych granicach, o ile można było przypuszczać, że krytyka nie ściągnie interwencyi, nie obudzi baczności policyjnej władz rosyjskich.

Tę uświęconą odrębność naszego życia publicznego, naszej zbiorowej działalności narodowej, pogwałciła dopiero polityka ugodowa. Skoro kierownikom jej, a zwłaszcza wyznawcom wydało się, że ich propaganda zatryumfowała w opinii, rozpasali się na rozpustę polityczną, dali folgę swoim instynktom nikczemnym, swoim zachceniom i interesom osobistym lub klasowych. Na słońce łaski carskiej wypełzły i swobodnie poruszać się zaczęły wszystkie namiętności poziome, wszystkie larwy nienawiści tajonej, głupoty zawistnej, chciwości, wszystkie pożądania plugawe. Z tajników dusz ludzkich wyroiło się wszystko, co było w nich podłego, co musiało się dotychczas ukrywać, hamować. Dzięki polityce ugodowej, właściwie wytworzonemu przez nią rozstrojowi opinii publicznej, mogło to paskudztwo wziąć czynny udział w działalności publicznej, a swobodę postępowania zapewniła mu marka lojalności.

Praca legalna, ale w duchu obywatelskim prowadzona, mająca na celu oświatę ludu cieszyła się i dziś cieszy się powszechnem uznaniem. Wszelkie usiłowania w tym kierunku, podejmowane przez ludzi dobrej woli, były troskliwie ochraniane i szanowane. Ci ludzie dobrej woli nie byli jednak i nie są ludźmi jednolitej barwy, wszystkie odcienia przekonań religijnych, poglądów filozoficznych programów politycznych i społecznych mają między nimi swych przedstawicieli. Ale łączył ich cel wspólny i dlatego robili dobrowolnie ustępstwa wzajemne, nie umawiając się o nie, ustępstwa nieraz sięgające tak daleko, że ludziom, którzy na tę pracę zbliska nie patrzyli, wydać się mogą nieprawdopodobnemi. Młodzi zapaleńcy z własnego popędu, żeby nie narażać na niebezpieczeństwo działalności pożytecznej ludzi, stojących na gruncie legalnym, postanawiają dawać do czytelni tajnych po wsiach tylko książki cenzuralne. Socyaliści i bezwyznaniowcy rozpowszechniają pomiędzy ludem książki religijne; na odwrót księża i szlachcice tolerują broszury wyraźnie socyalistyczne, jeżeli te mają zarazem tendencyę patryotyczną.

Pamiętamy tę chwilę, gdy niemal jednocześnie rorwijać się zaczęła żywsza praca nad oświatą ludu na wi i w mieście i rozdzielać się następnie raczej wyodrębniać w dwóch kierunkach, w dwóch, jeśli tak wyrazić się można, instytucyach. Przed dwudziestu kilku laty grono studentów uniwersytetu warszawskiego zajęło się urządzeniem i prowadzeniem czytelni bezpłatnych pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, podówczas gdy luźne kółka studenckie postanowiły za pieniądze, zebrane ze składek groszowych, zakupywać nieliczne wtedy, tanie, popularne książeczki i rozpowszechniać je wśród ludu wiejskiego podczas świąt i wakacyj.

Jedni i drudzy z przezornością, zadziwiającą poniekąd w młodzieży, postanowili trzymać się ściśle gruntu legalnego. I chociaż później pomiędzy tajnem towarzystwem oświaty ludowej, które pozostało przeważnie studenckiem, a czytelniami bezpłatnemi nie było właściwie żadnego związku, chociaż tu i tam zmieniali się wciąż ludzie a nawet warunki działania, nigdy nie przeniewierzano się obowiązkowi przezorności obywatelskiej. Zdarzyło się tak, że z grona studentów, którzy pracowali w czytelniach, wyszli pierwsi apostołowie socyalizmu wśród robotników warszawskich. Otóż ci młodzi zapaleńcy, chociaż odznaczali się gorliwością neofitów, zobowiązali się wzajemnie, że nie będą urządzali propagandy w czytelniach, nie będą wyznaczali w nich schadzek, przechowywali pism zakazanych. I temu zobowiązaniu nie przeniewierzano się bodaj nigdy.

Z biegiem czasu, gdy sprawa oświaty ludu zyskiwać zaczęła popularność w społeczeństwie, czytelnie bezpłatne przeszły pod kierownictwo ludzi starszych. Na czele wydziału czytelń w Towarzystwie stali ludzie poważani w społeczeństwie i znani z przekonań umiarkowanych, ś. p. prof. Pawiński, pp. A. Suligowski, Rembowski, adwokat Leszczyński i inni. Czytelnie uporządkowano, sporo książek niewłaściwych lub nie mających żadnej wartości wyrzucono, nowe książki nabywano i wogóle przyjmowano tylko na zalecenie wydziału. Naturalnie, ponieważ w wydziale zasiadali ludzie rozumni, przy wyborze książek nie kierowano się ciasnymi poglądami stronniczymi, nie wyznawano zasady, że lud powinnien czytać tylko książki, specyalnie dla niego przeznaczone, t. j. zazwyczaj posiadające treść lichą i licho napisane, ale za to moralne w znaczeniu prawomyślnem. Zresztą klientela czytelni była i jest bardzo różnorodną, jak różnorodną w ogóle pod względem pochodzenia, wykształcenia, obyczajowości i upodobań jest klasa pracująca w Warszawie, rekrutująca się z rozmaitych grup społecznych. Robotnik lub rzemieślnik warszawski — to często syn niegdyś zamożnego szlachcica lub urzędnika, czasem nawet zachowujący stosunki towarzyskie ze sferą, z której wyszedł; to często człowiek, który skończył kilka klas gimnazyalnych, nieustępujący wykształceniem przeciętnemu urzędnikowi, lub obywatelowi wiejskiemu, lub nawet specyaliście zawodowemu.

Kontrola książek, przeznaczonych do czytelni bezpłatnych, była nawet zbyteczną, bo przecie wszystkie te książki przechodziły przez cenzurę rosyjską, starannie tępiącą nie tylko to, co trąciło patryotyzmem, ale i wszelkie dążności przewrotowe i antyreligijne.

B. Prus, którego raczej o zbytni lojalizm niż o radykalizm posądzać można, publicznie niedawno zaświadczył, że dobór książek w czytelniach był zupełnie odpowiedni i chyba tylko wypadkowo, skutkiem przeoczenia mogła się zaplątać rzecz niewłaściwa. Nazwiska ludzi, którzy na czele wydziału stali i gorliwie zajmowali się czytelniami, nie pozwalają wątpić o tem.

Czytelnie bezpłatne przez dwadzieścia lat unikały szczęśliwie kontroli władzy rosyjskiej, która by je niewątpliwie zniszczyła. Dla uniknięcia tej kontroli doprowadzano nieraz ostrożność do przesady, nie pozwalano na najmniejsze zboczenie z drogi legalnej, byle władzy nie dać powodu wmieszania się w sprawy instytucyi.

Pierwszy zwrócił uwagę żandarmów na czytelnie bezpłatne szpieg Antoni Wiśniewski. W raporcie swym, którego dosłowny odpis posiadamy, podaje szczegóły o urządzeniu czytelni bezpłatnych, mówi, że obawiają się one kontroli, ale w swej czynności szpiegowskiej

jest po swojemu sumiennym, i, można powiedzieć, uczciwym, bo, denuncyując instytucyę, nie zmyśla faktów.

Zapewne na podstawie tego raportu pułkownik Markgrafskij wystąpił przeciw czytelniom ale nie jako żandarm, tylko jako publicysta. P. Markgrafskij działał w porozumieniu z księciem M. Radziwiłłem b. prezesem Towarzystwa dobroczynności. Ten ostatni z gorliwości klerykalno-zachowawczej, a bardziej jeszcze z pobudek osobistych intrygować zaczął przeciw czytelniom bezpłatnym, któremi powinien był się opiekować, oskarzając je o bezwyznaniowość i radykalizm.

Zachowanie się p. Radziwiłła względem czytelni oburzyło opinię publiczną i przyczyniło się w znacznej mierze do zrzucenia go z urzędu prezesa Towarzystwa dobroczynności. Nie wchodzimy w to, czy własna złość i głupota tego zarozumiałego człowieka, czy też lokajska usłużność jego popleczników i klientów wywołały kampanię przeciw czytelniom bezpłatnym w kilku organach prasy warszawskiej, polemikę wprost wstrętną, bo denuncyującą instytucyę przed władzą rosyjską.

Prowadził tę polemikę *Przegląd katolicki*, przywłaszczający sobie nazwę organu duchowieństwa, chociaż większość księży nie solidaryzowała się dawniej i dziś tymbardziej nie solidaryzuje się z pismem, wydawanem przez karyerzystów w sutanach, wdzięczących się do rządu moskiewskiego lub oślepionych fanatyzmem, i ograniczonych umysłowo gorliwców. *Przeglądowi katolickiemu* wtórowały szumowiny dziennikarstwa warszawskiego, bo nawet przyzwoitsze pisma ugodowe nie brały w tej kampanii udziału. Dla charakterystyki napaści, miotanych na czytelnie bezpłatne, dosyć powiedzieć, że wobec tych kłamstw i potwarzy raport szpiega Wiśniewskiego jest wzorem bezstronności i sumienności. Cała nikczemność szubrawców moralnych i gorliwców zawistnych, zadowolona, że przychodzi wreszcie do głosu w sprawach publicznych, że może się nakoniec zemścić za okazywaną jej pogardę, ujawniła się w tych napaściach.

Kres zarówno napaściom na instytucyę, jak obronie jej położyła, ma się rozumieć, władza rosyjska Książę Imerytyński obwieścił swoje *sic volo sic jubeo*. »Nad czytelniami bezpłatnemi została ustanowiona kontrola rządowa, którą będzie sprawował pozostający do rozporządzenia generał-gubernatora rzeczywisty radca stanu Kowzan. Naczelnik zakładów dobroczynnych p. Ziłow zawiadomił zarząd Towarzystwa dobroczynności, że niezależnie od przejrzenia dotychczasowych katalogów książek, znajdujących się w czytelniach, na przyszłość książki mogą być kupowane lub przyjmowane do czytelni bezpłatnych dopiero po zaakceptowaniu ich przez p. Ziłowa.«

Następstwem tego rozporządzenia będzie prawdopodobnie wyrzucenie książek, w których p. Ziłow znajdzie dążności patryotyczne, np. dzieł historycznych, poezyj i t. p. — z pewnością zaś czytelnie bezpłatne zostaną zaopatrzone w książki rosyjskie. Natomiast wydaje się bardzo wątpliwem, czy nawet kontrola rządowa przyzna słuszność podszeptom denuncyatorów.

Ci ostatni muszą być takiem rozstrzygnięciem sprawy skonsternowani. Jednomyślnego oburzenia uczciwych ludzi nie przeciwważy czelność denuncyantów, nie przeciwważą podpisy dwustu Bogu ducha winnych prostaczków lub opojów, wybranych pośród majstrów i domagających się zreformowania czytelni. Nieuniknione spaczenie charakteru instytucyi, pożytecznie dla sprawy oświaty ludu w duchu narodowym pracującej, jest niewątpliwie klęską. Wierzymy jednak w żywotność lepszej części społeczeństwa naszego w zaborze rosyjskim i nie wątpimy, że chociaż może straconego posterunku nie odzyska, znajdzie inne środki i sposoby pracowania nadal w tej samej dziedzinie z pożytkiem dla sprawy publicznej, a przedewszystkiem powetowania szkody. Skupią się teraz tym łatwiej do pracy dla wspólnego celu ci wszyscy, których rozdzieliły względy polityczne, skupią się w imię solidarności ludzi uczciwych, dobrych obywateli.

Ogół nasz ma tyle jeszcze uczciwości politycznej, że oburza go szczerze każda wyraźna podłość w polityce. W danym wypadku nikczemność jest tak jawną, że komentarzy nie potrzebuje. Na ogół, nawet inteligentny, takie właśnie fakty silniej działają, niż najbardziej przekonywujące argumentacye polityczne.

Nie pierwszy to i nie ostatni raz z pewnością kompromitują gorliwcy politykę ugodową wobec opinii publicznej. Jest to konieczność nieunikniona. Szukając sojuszników na wszystkie strony, kierownicy tej polityki musieli sprzymierzyć się z żywiołami zupełnie zdemoralizowanymi, musieli przyjąć pod swój sztandar wszystkich wyrzutków społeczeństwa, musieli dać im pewną wolność działania i rozpasania swej podłości. A teraz mścić się na nich zaczynają konsekwencye tych sojuszów.

Większość ludzi uczciwych skłania się przedewszystkiem do tej polityki, w której uczciwość, wierzy. A polityka ugodowa nie może być uczciwą, chociażby chciała. Nie może wiec zyskać zaufania ogółu, a gdyby je nawet za pomocą zręcznych manewrów zdobyć potrafiła, to rychło je stracić musi. Takie sprawy, jak ta, o której piszemy, są dla ugodowców bodaj większą klęską, niż dla sprawy narodowej.

Niech więc wypełza z nor swoich wszelkie plugastwo moralne i polityczne, niech się cieszy swobodą zakażania atmosfery publicznej. Łatwiej je dziś tępić, gdy się wyraja na światło dzienne, niż dawniej, gdy szukać go było trzeba w dziurach ciemnych i brudnych, gdzie się ukrywało.

## *Z CAŁEJ POLSKI.*

Skandaliczne zajście w wysokich sferach i możliwe jego następstwa. — Nowa akcya w celu popierania niemczyzny. — Liberalna germanizacya. — Sprawa nauczycieli w gimnazyum polskiem w Cieszynie.

Nasz korespondent warszawski opisuje szczegółowo zajście skandaliczne, którego bohaterem jest margrabia Wielopolski i które żywo obchodzi, zwłaszcza koła szlachecko-zachowawcze.

Otrzymaliśmy o tem zajściu drugą relacyę, pochodzącą jak się zdaje, od jednego z naocznych świadków, w każdym razie od człowieka, należącego do sfery wyżej wymienionej.

Autor tej relacyi szczegółowo opowiada przebieg zajścia i trochę inaczej przedstawia jego koniec, właściwie odezwanie się p. Wielopolskiego. W zamieszaniu, gdy się wszyscy z miejsc zerwali, nie wszystko każdy mógł słyszeć, co było powiedzianem. Nie chodzi mi tu zresztą o opis zajścia, ale o wykazanie bardzo prawdopodobnych, niemal koniecznych jego następstw. Zaznaczę więc tylko, że według tej drugiej relacyi pan Wielopolski nie mówił o rządzie i carze, tylko zawołał: »Panie prezesie, powiedziano tu takie rzeczy, któ-

rych ja wcale słuchać nie powinienem«, poczem wyszedł z sali. Dodawać nie trzeba, że i autor drugiej relacyi przejęty jest oburzeniem z powodu postąpienia p. Wielopolskiego i silniej może nawet, niż nasz korespondent, podkreśla jego brutalność.

Pan Zygmunt Wielopolski nie odziedziczył po swym ojcu ani jego rozumu, ani silnej woli, ale wziął po nim w spadku butę pyszałkowatą i bezwzględność brutalną, które w ojcu raziła syna zaś, człowieka lichego umysłowo i moralnie, czyni wstrętnym i zarazem śmiesznym.

Bo jušci co innego naczelnik rządu cywilnego Królestwa, a co innego łowczy carski i administrator księstwa łowickiego.

Ale osobą p. Wielopolskiego i jego postępowaniem zajmować się nie warto. Natomiast wypada zająć się faktem i możliwemi jego konsekwencyami. Obrażenie powszechnie w kołach zachowawczo-szlacheckich poważanego p. Ludwika Górskiego, człowieka, mającego istotnie zasługi obywatelskie, oraz wszystkich uczestników urządzonego w celu uczczenia jego obiadu, jest pierwszym objawem rozłamu zwartego dotychczas stronnictwa ugodowego. Kto wie, jaką rolę w tem stronnictwie i wogóle w polityce sfer szlachecko-zachowawczych grają względy osobiste, ten zrozumie, że to zajście, mające z pewnością pobudki prywatne, posiada znaczenie poważne.

Zajście pomiędzy pp, Wielopolskim i Górskim może mieć, ma się rozumieć w odpowiednich do dzisiejszych warunków rozmiarach, taki wpływ na dalszy rozwój polityki ugodowej, jaki miał antagonizm między margrabią-ojcem i p. Andrzejem Zamojskim. Porównanie »kochanego pana Ludwika« z nieboszczykiem »panem Andrzejem« wytrąciło margrabiego, jak zaznaczają naoczni świadkowie, z równowagi.

Pomiędzy programem t. zw. »białych«, zwłaszcza tej ich części szlacheckiej, która się grupowała koło »pana Andrzeja«, a pomiędzy programem Wielopolskiego-ojca i jego stronników, nie było takiej zasadniczej różnicy, któraby uniemożliwiała kompromis. Wszelkie jednak próby kompromisu rozbijał antagonizm osobisty i doprowadził w końcu obie strony, coraz bardziej podniecające się niechęciami osobistemi, do antagonizmu politycznego.

Prawdopodobnie to samo nastąpi teraz. Mówiliśmy kilkakrotnie o dwóch prądach politycznych, istniejących w t. zw. stronnictwie ugodowem, w kierowniczych jego kołach. Jeden z nich, kładący główny nacisk na odrębność narodową, przypomina program dawniejszych »białych«, drugi, zalecający »wejście do środka państwa«, jest zastosowaniem do warunków dzisiejszyck odtworzeniem programu Wielopolskiego. Antagonizm osobisty przyczynić się może w znacznej mierze do wyodrębnienia tych prądów, do skrystalizowania się ich w postaci odmiennej.

Ambicye i antagonizmy osób i całych rodów grają jeszcze wielką rolę w polityce kół zachowawczo-szlacheckich. Widzieliśmy to niejednokrotnie w Galicyi, tymbardziej zobaczyć możemy w zaborze rosyjskim. Bodajbym był dobrym prorokiem, że ogół szlachecki skupi się koło p. Górskiego i walcząc z osobą p. Wielopolskiego wciągnie się stopniowo do walki z kierunkiem politycznym, który on w skrajnej formie reprezentuje. Powszechne oburzenie na margrabiego »moskiewskiego służalca«, pozwala żywić tę nadzieję, która byłaby pewnością, gdyby ludzie dobrej woli, którzy się nazywają stronnictwem umiarkowanie-patryotycznem, potrafili to usposobienie w sposób odpowiedni wyzyskać.

Bardzo być może, iż margrabia Wielopolski znajdzie się wkrótce tylko w małej ale dobranej kompanii z pp. Piltzem i Straszewiczem. i ze szczupłą garstką karyerowiczów arystokratycznych, łakomiących się na tytuły dworskie. I kto wie, czy Piotr Warta w drugiem wydaniu swych »Myśli politycznych« nie będzie musiał dodać jednej jeszcze analogii stosunków dzisiejszych do stosunków przed r. 1863.

Ale gdyby to nawet nie nastąpiło, w każdym razie rozłam w stronnictwie ugodowem, w koteryi, która niem kieruje, jest faktem niewątpliwym. Dla nas jest to fakt pożądany, jak wszystko, co naszych przeciwników politycznych osłabia, co ich dezorganizuje.

Te korzyści, jakie udało się wyciągnąć ugodowcom dla wzmocnienia swego stanowiska z rzekomych ulg, przywiezionych z Petersburga przez Imeretyńskiego, zniweczyła sprawa czytelni ludowych, która oburzyła na nich opinię publiczną. Teraz gdy sztab ich kłóci się ze sobą, a szeregowców pozbawić musiało animuszu oburzenie ogółu uczciwych ludzi, teraz nadchodzi właściwa pora do rozpoczęcia ataku. Gdyby stronnictwa szczerze patryotyczne były do walki należycie zorganizowaoe i przygotowane, mogłyby jednym stanowczym napadem przeciwników złamać i pokonać. Niestety, na taką akcyę zdobyć się jeszcze nie mogą, ale mogą, ale powinny szarpać ich w każdej chwili sposobnej metodą partyzancką. Zdeorganizowanie przeciwnika jest zapowiedzią rychłego zwycięztwa. Trzeba było czekać cierpliwie tej chwili, ale teraz należałoby rozwiąać działalność energiczną i atakować przeciwników na każdym kroku szybko i niespodzianie.

Już podczas rozpraw nad funduszem stumilionowym dla komisyi kolonizacyjnej i w sejmie i w prasie niemieckiej odzywały się głosy, że dotychczasowa akcya »popierania niemczyzny na kresach wschodnich« jest niedostateczną, że trzeba koniecznie rozszerzyć ją na miasta, w których polski stan średni szybko wzrasta i staje się groźnym. Jeden z ojców hakatyzmu p. Tiedemann rozwodził się w sejmie szeroko o postępach polskiego przemysłu i handlu, przytaczając między innemi następujące cyfry:

»Tak np. w mieście Poznaniu, według zestawienia, jakie mam przed sobą, polskie rzemiosło w ostatnich 10—15 latach podniosło się z 36·3 na 49·8 procent. W mieście Wągrowcu wzrosła liczba polskich kupców i rzemieślników w ostatnich dziesięciu latach o przeszło 100 procent, natomiast liczba niemieckich cofnęła się o przeszło 20 procent. W mieście Gnieźnie nie było z wyjątkiem dwóch — zdaje mi się dwóch — szewców, przed 30 laty zgoła żadnego polskiego rzemieślnika; dziś jest tam obok 104 niemieckich, 307 polskich rzemieślników.

»Liczby te dowodzą, jak bardzo polskość się rozpiera i dla tego przestrzegam panów przed złudzeniem, jakobyśmy nowymi 100 milionami, które teraz uchwalamy w celu osiedlania niemieckich chłopów, uczynili wszystko dla położenia tamy wzrastającemu polonizmowi. Będziemy musieli przedewszystkiem baczną zwrócić uwagę na miasta«.

Mowy, artykuły dziennikarskie, broszury, w różny sposób argumentujące, ale zgodnie w ostatecznym wywodzie powtarzające wezwanie do zwrócenia uwagi na miasta, zapowiadają nową akcyę, którą niewątpliwie rząd poprze.

P. Miquel oświadczył już, że „rząd nie spodziewa się za pomocą samej ustawy kolonizacyjnej dokonać

wielkich rzeczy, i rozumie potrzebę całego szeregu innych środków.« Wszyscy ministrowie zgadzają się na te środki, które mają być »nie tyle represyjne ile raczej kulturalne«, on zaś przyrzekł, że »nie będzie skąpym«.

Niedawno w czasopiśmie *Die Kritik* niejaki pan Cornelius zamieścił artykuł p. t. *Wie es in den Städten unserer Ostmark aussieht*. Autor, Niemiec, oddawna na ziemi polskiej zamieszkały, potępia dotychczasową politykę germanizacyjną, nie dla tego, że jest niesprawiedliwą, ale dla tego, że jest bezskuteczną. P. Cornelius również twierdzi, że niemczyzna się cofa. Od r. 1883 do 1857 ludność ewangielicka wzrosła w Poznańskiem o 27.212 dusz, katolicka, (przeważnie polska), o 115.235, a żydowska zmniejszyła się o 16.580.

»Ani prześladowania szkolne, ani wykupno i parcelacya dóbr polskich, ani osiedlanie kolonistów niemieckich, ani nadzór nad towarzystwami polskiemi nie pomogą, nie powstrzymają cofania się niemczyzny, jeśli się nie zapcha głównego źródła zła, ułatwieniem rozwoju i postępku zarobkowania«. Miasta, na pozór niemieckie, są »municypiami urzędniczemi«, a urzędnicy pobyt swój na kresach wschodnich uważają za czasowy. Trzeba więc podnieść przemysł i handel i unikać w tej sprawie wyłączności narodowej. Działalność hakatystów pojedynczym Polakom zaszkodziła, ale większą szkodę wyrządza niemczyźnie, podniecając odporność polską.

Polacy na równi z Niemcami powinni korzystać z ułatwienia zarobkowania i to właśnie osłabi ich odporność i Niemcy ostatecznie zwyciężą. Dziś Polacy zwyciężają nawet swoją »dwujęzycznością«. i p. Cornelius żąda, żeby w szkołach uczono dzieci niemieckie języka polskiego.

W uwagach p. Corneliusa jest dużo słuszności, ale trochę, że tak powiem spóźnionej. Gdyby rząd niemiecki przed dwudziestu jeszcze laty trzymał się tej polityki, którą on zaleca, być może, iż stan średni polski w miastach nie wyrobił by się wcale. Dziś jednak ta klasa średnia ma nietylko świadomość narodową i społeczną, ale i przymioty, których w trudnej walce o byt nabyła. Ma ona obecnie taką samą, a może nawet większą »wytrwałość i energię w pracy zarobkowej«. Ma instytucye, oparte na solidarności, spółki i stowarzyszenia, którym p. Cornelius przyznaje, że »skutecznie wspierają żywotność polską«.

Polski stan średni w Poznańskiem przynajmniej, jest już tak silny i do samodzielnosci wdrożony, że potrafi skutecznie współzawodniczyć z Niemcami w równych warunkach, a nawet wytrzyma współzawodnictwo w warunkach gorszych, Zapowiadane w mowach urzędowych i wynurzeniach hakatystów nowe środki popierania niemczyzny w miastach nie zgnębią go, jeżeli swoją samodzielność polityczną i społeczną utrzyma i rozwinie. Ale tymbardziej właśnie w takiej chwili, gdy zaczyna się nacisk niemczyzny na stan średni, wszelkie krępowanie jego politycznej i społecznej świadomości i samodzielności jest dla sprawy narodowej szkodliwem i źle jej służą ci, którzy wprost lub ubocznie temu naturalnemu rozwojowi naszych stosunków polityczno-społ cznych w zaborze pruskim przeciwdziałają...

Gdy zakładano gimnazyum polskie w Cieszynie, na które składała się cała Polska, spodziewano się słusznie, że będzie to szkoła narodowa w całem znaczeniu tego wyrazu, o ile, ma się rozumieć, ustawy austryackie na nadanie jej tego charakteru pozwolą. Na Śląsku jednak patryotyzm miejscowy i dążenia partykularne są silniejsze niż gdzieindziej, czemu dziwić się nie można, ze względu na wiekowe odosobnienie tej części kraju, ale co zwalczać stanowczo i tępić należy.

Patryoci śląscy nieraz już utyskiwali na mieszanie się Galicyan i wogóle Polaków do ich spraw. Obecnie w sprawie gimnazyum ujawniło się niechętne ich usposobienie bardzo wyraźnie. Było rzeczą zupełnie naturalną, że do nowego gimnazyum polskiego sprowadzono nauczycieli z Galicyi, ludzi do wykładu w języku polskim przyzwyczajonych, znających terminologię naukową i posiadających pewną rutynę. Zrobiono to i dla tego, że odpowiednich kandydatów na Śląsku nie było, i nie zgłaszali się wcale. Dziś, gdy istnienie gimnazyum jest już trochę utrwalonem, znaleźli się kandydaci, młodzieńcy, którzy świeżo nauki ukończyli, synowie lub krewni ludzi, należących do koteryi, przywłaszczającej sobie monopol kierownictwa sprawami narodowemi na Śląsku.

Zaczęła się wiec kampania przeciw nauczycielom z Galicyi, prowadzona w sposób zaściankowy, która zakończyła się zbiorowem podaniem się do dymisyi ciała nauczycielskiego. Zebranie »Macierzy szkolnej«, zwołane na 2 kwietnia, ma tę sprawę rozstrzygnąć. Prasa galicyjska, która stanęła po stronie nauczycieli, broni dobrej sprawy, ale nie zbyt właściwymi argumentami, jak np. że więcej może Ślązaków zajmuje posady w Galicyi, niż Galicyan na Śląsku. Tu nie powinno być mowy o Ślązakach i Galicyanach, ale o Polakach na Śląsku. Lepszym już jest argument, że 97% ofiar na gimnazyum polskie wpłynęło z innych dzielnic, a tylko 3% ze Śląska. »Macierz szkolna«, która istnieje dzięki ofiarcości całego kraju, ma obowiązek głośno proklamować zasadę, że Polak, gdziekolwiek w Polsce się znajdzie, jest zawsze w swoim kraju i ma równe z mieszkańcami tej dzielnicy prawa. Rządy mogą prawa »obcokrajowców« ograniczać, ale nas te ograniczenia nie obowiązują, nie powinniśmy ich uznawać. Nie wątpimy, że tę zasadę zebranie w Cieszynie uzna, i da nauczycielom należne im zadosyćuczynienie. Jeżeli to nastąpi, zajście w gimnazyum cieszyńskiem będzie miało ten skutek dodatni, że przykładowo pouczy patryotów galicyjskich o niewłaściwości i szkodliwości partykularyzmu.

*J. L. Jastrzębiec.*

---

## Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

*Warszawa, 13 marca 1898 roku*, (*spóźniona*).

Zapowiedzi reform. — Samorząd miejski. — Czy należy cieszyć się z niego? — Wykład języka polskiego w gimnazyach i progimnazyach. — Nauka religii i rozszerzenie wykładu języka polskiego w szkółkach ludowych. — Kuratorya trzeźwości.

Powrót ks. Imeretyńskiego z Petersburga, poprzedziły pogłoski o »zmianach« albo »reformach«, uzyskanych i mających wejść w życie po powrocie tegoż na stanowisko.

Oględność, z jaką mówią o owych »reformach« ugodowcy, dowodzi, że nie są one ani zbyt ponętne dla społeczeństwa, ani zbyt pewne, jednocześnie zaś ta sama oględność może świadczyć, że przyjęcie księcia Imeretyńskiego, a więc i jego program, który ma być rzekomo »zaspokojeniem s ł u s z n y c h żądań« naszych, nie było tak łatwe i przychylne, jak o tem głoszą nieliczni »dobrze poinformowani«. Prawda, że generał-gubernator nie wraca z pustemi rękami, prawda, że lejb-

organ nowych ludzi, *St. Pictiersburskija Wiedomosti*, próbuje wznowić kampanię o potrzebie pojednania z Polakami, prawda, że nominacye pomniejszych urzędników administracyjnych, przeniesienia i wyróżnienia wskazują, iż generał gubernator czuje się pewnym siebie i dobiera sobie wykonawców, niemniej wszakże i to jest prawdą, że sygnalizowane reformy, o ile się sprawdzą, będą urzeczywistnieniem drobnej zaledwo cząstki nie już niedawnych nadziei pospólstwa, lecz zapowiedzi, głoszonych przez popleczników ugody i przyjaciół księcia Imeretyńskiego.

Całokształt reform, według najnowszej relacyi przedstawia się jak następuje: 1) samorząd miejski, 2) wykład polskiego języka w gimnazyach na równi z innymi przedmiotami, 3) wykład religji i polskiego w szkółkach ludowych. O punkcie pierwszym powiedzieć można tyle tylko, że nie posiada on wcale znaczenia politycznego, jeśli zaś posiada, to chyba ujemne. Powstanie bowiem nowa instytucya, której członkowie, nie będąc urzędnikami państwowymi i od rządu nie zależąc, przedstawiając w swych osobach żywioł polski i obywatelstwo miejskie, zebrane w celu omawiania własnych miejskich i miejscowych, a więc polskich potrzeb i interesów, — będą musieli z własnej woli swojej, bo jedynie z natury ustawy organizacyjnej, rozmawiać i obradować po rosyjsku.

Zaprawdę, nie pojmuję, dlaczego czytający, piszący i myślący ogół nasz, ilekroć mowa o samorządzie miejskim, tak mało uwzględnia okoliczność przytoczoną, tak niedbale i niechętnie zastanawia się nad faktem, że samorząd zmusi ludzi wolnych, niezależnych, całkiem prywatnych mówić po rosyjsku w sprawach publicznych wprawdzie, lecz nie rządowych i nie państwowych. Do takiego przymusu, będącego ideałem ucisku i demoralizacyi politycznej, zbliżył się rząd rosyjski przez samo rozporządzenie o Towarzystwie kredytowem ziemskiem i towarzystwach kredytowych miejskich. Ale po pierwsze tamte rozporządzenia nie weszły jeszcze w życie, po drugie zaś nie osłabiają one wcale szkodliwości rozporządzeń nowych, ujemnej istoty organizacyi samorządu miejskiego. Przymusowe obradowanie w języku rosyjskim w instytucyach samorządnych nazwałem ideałem ucisku i demoralizacyi dlatego, że po za ten kres najgorszy, najdespotyczniejszy, najbardziej wścibski rząd przeniknąć nie potrafi. Nikt nie zmusi ludności podbitej do mówienia u siebie w domu, w rodzinie językiem zaborców, ale kto zmusza do używania języka państwowego w instytucyach s a m o r z ą d n y c h i w organizacyach samopomocy obywatelskiej, ten o krok jedynie stoi od przymusu językowego we wszelkich instytucyach i zebraniach p u b l i c z n y c h, a więc o krok od polityki Murawiewowskiej. Konsekwentnem uzupełnieniem przymusu językowego w obradach i korespondencyach towarzystw wzajemnego kredytu jest przymus językowy we wszelkich towarzystwach przemysłowych, handlowych, naukowych, literackich, sportowych itd. Konsekwentnem zaś następstwem wprowadzenia języka rosyjskiego do samorządu miejskiego jest wprowadzenie tegoż języka do samorządu wiejskiego, którego w postaci urządzeń »ziemskich« dotąd nie mamy, ale które mieć będziemy prędzej czy później, a nawet, jak powiadają niektórzy, zaraz »po wypróbowaniu« organizacyi miejskiej.

Nie zdobyliśmy się dotychczas na uświadomienie sobie i wzdrygnięcie się przed analogią pierwszego rodzaju (między towarzystwami wzajemnego kredytu a wszelkiemi wogóle towarzystwami publicznemi i organizacyami samopomocy społecznej), tak samo nie odczuwamy, nie pojmujemy, jaka otchłań ukrywa się poza analogią rodzaju drugiego. Jeżeli rząd, rusyfikując towarzystwa kredytowe, już dziś nie stosuje takichże przepisów do towarzystw: popierania przemysłu i handlu ogrodniczego, dobroczynności, ubezpieczeń, zaliczek i wkładów itd., to jedynie dlatego, że rozumie, iż w społeczeństwie zamało jest ludzi, władających językiem rosyjskim. Dla tej samej przyczyny nie każe chłopom na zebraniach gminnych mówić po rosyjsku, ale jeśli nie zmienią się jego intencye a nasze postępowanie, jego polityka wytrwała i konsekwentna a nasz biernie niekonsekwentny opór, jego siła a nasza prostracya, to nieomieszka spróbować interwencyi w zastosowaniu do wszystkich ciał i zgromadzeń publicznych, nieomieszka też, organizując »ziemstwa« powiatowe i gubernialne, nakazać mowy rosyjskiej. Wtedy dopiero zaczniemy sobie winszować nabytku, a panom ugodowcom dziękować za bezwzględne i bez zastrzeżeń prowadzone błaganie o »samorząd«.

Zapewne. Wdzięczny to jest wyraz i jeszcze wdzięczniejsze pojęcie, które się za nim ukrywa. Wszakże filozofowie oddawna już zrozumieli, jak wielką szkodę zrządzają w rozumowaniach wyrazy, jak niebezpieczną i naganną jest rzeczą wprowadzać do nauki, do rozpraw terminy, których znaczenia nie określono zawczasu z należytą ścisłością. Wyraz każdy pociąga za sobą całą grupę skojarzonych i spokrewnioaych z sobą pojęć i budzi w umyśle cały szereg stanów uczuciowych, właściwych tym pojęciom. Zjawisko to wyzyskiwanem bywa zwykle w sporach, kiedy chcąc przeważyć szalę na swoją stronę, zaliczamy dane pojęcie do kategoryi, posiadającej ustaloną już i znaną powszechnie nazwę, zaliczając zaś, narzucamy słuchaczom, podszeptujemy im pożądane uczucia odrazy lub sympatyi. W ten sposób gubi się systematy naukowe, kwalifikując je jako »materyalistyczne«, lży się prądy społeczne, utożsamiając je z »socyalizmem« i naodwrót wywyższa się pospolite burdy lub bójki, mianując je »walką o wolność«, upiększa się charaktery awanturnicze, określając je jako »niezależne«. Sądzę, że ulegamy podobnemu złudzeniu i szerzymy podobne oszustwo, przyjmując bez zastrzeżeń nazwę »samorządu« dla instytucyi, któremi zamierza nas obdarzyć rząd rosyjski. »Samorząd« jest tam tylko, gdzie ludnością w danej dziedzinie życia, w danej kategoryi stosunków nie rządzi nikt. Jeśli zaś organizacya »samorządu« ulegnie ograniczeniom językowym, osobistym i administracyjnym, jeśli każe się jej członkom mówić po rosyjsku, jeśli odmówi się uchwałom zgromadzeń wszelkiej wagi, dopóki nie zatwierdzi ich gubernator, jeśli pozostawi się administracyi prawo usuwania z zarządów i komisyi wszelkich jednostek, źle widzianych przez naczelnika lub żandarma powiatowego, jeśli w końcu przyjmie się zasadę, że rząd ma prawo bez zgody, a nawet bez wiedzy instytucyi samorządu wkraczać z własną i dowolną inicyatywą w dziedzinę stosunków powierzonych pieczy tegoż »samorządu« — to z »samorządu« zostanie fikcya. Dobrzy ludzie, »światli«, »zacni«, »gorliwi« i »czynni« obywatele, będą m eli prawo wygadywać się do syta na zebraniach przedwyborczych, wyborczych i powyborczych, a to w celu ćwiczenia się w pronuncyacyi wielkorosyjskiej, ciż sami dobrzy ludzie będą mieli prawo obłożyć się podatkami a to w celu ulżenia rządowi, który niezawodnie zrzeknie się natychmiast niektórych dotychczas ponoszonych wydatków i nakładów, ciż sami dobrzy ludzie będą mieli prawo uważania się za uszczęśliwionych przez

rząd, który »podzielił się władzą ze społeczeństwem«. Tak się przedstawiają podstawy i treść przyszłego samorządu w »kraju przywiślińskim«, bo jeżeli ziemstwa wielkorosyjskie, ziemstwa, złożone z »wiernych poddanych«, wyrosłe w »historycznem jądrze« państwa, ledwie dyszą i wołają wielkim głosem o litość, cóż będzie u nas? Wszakże pierwszy lepszy chłystek z gwiazdką na wytartej czapczynie będzie miał prawo wnijść np. do szkółki, założonej przez »inteligencyę« albo przez »arystokracyę polską« i powyrzucać ztamtąd książki, nauczycieli, a bodaj że i uczniów. Korzyść praktyczna, skutki namacalne będą żadne.

Jedyną tedy dobrą stroną zapowiadanych instytucyi będzie możność porozumiewania się i wypowiadania w interesach ogolnej doniosłości, ale ta dobra strona, wobec faktycznej możności porozumiewania się i w stosunkach dzisiejszych, jest tak mała w porównaniu ze stronami złemi, że pierwszy punkt reformy nie jest w stanie przełamać naszej obojętności. Przyjąć nowe instytucye musimy, a nawet powinniśmy, pod warunkiem wszakże, iż wszędzie na pierwszej sesyi i później na początku każdej kadencyi przedstawiciele ludności stawiać będą żądanie prowadzenia obrad w języku polskim. Że jestto niezbędne, tego już dowiedliśmy i rozumie to każdy Polak; że jest wykonalne, o tem nikt wątpić nie powinien. Tego rodzaju żądanie nie jest zgoła czynem rewolucyjnym, nie jest nawet czynem nielegalnym, lubo dąży do zmienienia prawa. Nie to bowiem jest nielegalne, co dąży do zmienienia prawa, tylko to, co używa środków przez prawo wzbronionych. Żadne zaś prawo nie broniło, nie broni i bronić nie będzie wypowiadania potrzeb swoich przez przedstawicieli ludności, do tego umyślnie powołanych. Do myśli, które tu rzucamy, powrócimy jeszcze po urzędowem ogłoszeniu zarysu samorządu miejskiego, tymczasem podkreślając zupełną jego niezgodność z istotnemi wymaganiami życia narodowego, przejdźmy do innych punktów »reformy«.

Naprawdę szczerze i sumiennie pomyślanym wydaje się (bo znów brak wiadomości urzędowych) punkt drugi, stosunkowo najbłahszy, wykład szerszy polskiego języka w gimnazyach i progimnazyach Królestwa. Przedmiot ten jest dzisiaj zgoła zaniedbanym i pogardzanym, nauczyciele mówić muszą po rosyjsku, podręczników używać im nie wolno, egzamina się nie odbywają, przymusowego uczęszczania na lekcye niema. Teraz język polski ma stać się przedmiotem obowiązującym wszystkich katolików, (ewangelików i żydów o tyle tylko, o ile rodzice złożą na piśmie deklaracyę, iż uznają język polski za ojczysty), egzamina z niego będą się odbywały na równi z egzaminami z innych przedmiotów, podręczniki i program wykładu wskaże umyślna komisya, zwołana przez kuratora. »Naprawa« taka, gdyby nawet najlepiej ją przeprowadzono, tyczy się wychowanie zaledwie kilku tysięcy młodzieży, wątpić też niepopobna, że gimnazya w Chełmszczyźnie i w Suwalskiem po staremu pozostaną bez wykładu języka polskiego. Trzeba nadto zauważyć, że ilość godzin wykładowych mianowicie 19 tygodniowo w 8 klasach, jest zbyt szczupła, żeby mogła być mowa o jakiejś nauce na seryo.

W końcu obiecano nam zaprowadzenie nauki religii katolickiej i »znaczne rozszerzenie« wykładu języka polskiego w szkółkach ludowych. Ma to być wykonaniem częściowem ukazu z r. 1864, który jak wiadomo, został w praktyce ograniczony przez mnóstwo uzupełniających rozporządzeń i okólników ministeryalno-kuratorskich, stał się przeto normą prawną, której restytucya, albo raczej urzeczywistnienie musi poprzedzić dalszy rozwój prawodawstwa w kierunku zadośćuczynienia potrzebom narodowym. Zapatrując się z tego stanowiska na rzeczy, musimy przyznać, że usunięcie ograniczeń, wprowadzenie nauki religii i »rozszerzenie« wykładu języka polskiego będą, jeśli nastąpią, reformami postępowemi i pożytecznemi dla naszego społeczeństwa. Lecz to nie wystarcza. Jeżeli dążności rusyfikacyjne rządu dzisiaj na pukcie oświaty ludowej słabną, to nasze dążności, potrzeby i wymagania narodowe i kulturalne oddawna już się wzmacniają i bezwątpienia przerosły to, co rząd zamierza ofiarować. Potrzeba nauki języka polskiego jest już w istocie tak niezbędną i tak pilną, że lud wbrew szkółkom rządowym i wbrew polityce dyrekcyi naukowych sam uczył się i uczy czytać i pisać po polsku, urzeczywistniając *minimum* swoich potrzeb kulturalnych bez pomocy i wbrew woli rządu. Nowa »reforma« nie może nas przeto na żaden sposób zaspokoić, i to broń Boże dlatego, żebyśmy mieli być tak nienasyceni, niecierpliwi, niewyrozumiali i niepopoprawni, jeno dlatego, że ofiaruje nam w prezencie to, cośmy już mieli i każdej chwili sami sobie brali. Przyjmiemy ją owszem, przyjmiemy z uznaniem, bo nawet inaczej nie możemy, ale natychmiast uczujemy, że lubo w stanowisku rządowem względem oświaty, w zapatrywaniach rządu na wykształcenie ludowe, w położeniu prawnem szkolnictwa początkowego zaszła zmiana, w rzeczywistości wszakże nie zmieniło się nic. Na drugi dzień po wprowadzeniu reformy uczujemy to wszyscy i zażądamy ustępstw dalszych, cokolwiek pomyśleliby i powiedzieli urzędowcy, bo powtarzam, a rozumowanie moje nie jest parodoksem, że do uczynienia zadość potrzebom oświaty w Królestwie, do zaspokojenia rozbudzonej chęci kształcenia się wśród ludu, potrzeba reform prawdziwych, zarządzeń pomyślanych głęboko i szeroko sięgających, nie zaś marnego ulegalizowania podstaw, które lud już ma, już zdobył sobie na zgrajach »uczytieli-seminarzystów« i strażników ziemskich. Życie czekać nie może, zanim się car namyśli i odważy posunąć o krok naprzód, życie nie może czekać, zanim wnukowie współczesnych Straszewiczów, Górskich i Blochów zrozumieją, że ludowi polskiemu potrzeba czegoś więcej prócz elementarzy obrazkowych Owszem, postęp w dziedzinie oświaty wzrasta w stosunku geometrycznym, gdy zarządzenia, wzrastają w stosunku arytmetycznym, a uznanie przez rząd prawa i naturalności uczenia się po polsku otworzy wrota zapotrzebowaniem wiadomości rozleglejszych, nauki wszechstronniejszej, wykształcenia społecznego.

Należy wspomnieć, że w ostatnich dniach rozeszły sie też pogłoski o wprowadzeniu do Królestwa kuratoryów trzeźwości, do których mają być powoływani członkowie duchowieństwa katolickiego. Nie wiemy, jak rozległy będzie zakres kompetencyi owych komitetów, a przeto utrzymując w mocy to, co powiedzieliśmy o samorządzie, wstrzymać się musimy od oceny szczegółowej. Nie ulega jednak wątpliwości, że ta pierwsza instytucya, która wprowadzi inteligencyę w bezpośrednie zetknięcie z ludem, powinna przynieść wiele pożytku. Między innemi pozwoli ona poznać bliżej lud, zrozumieć jego potrzeby i zapatrywania, śledzić za przeobrażeniem się jego myśli i za rozwojem prądów, które w nim powstają pod wpływem przenikającej oświaty.

Obok zapłodnienia naszej działalności publicznej duchem praktycznego demokratyzmu, zyskamy też mo-

żność wchłaniania wytworów kultury ludowej, co wszystko było u nas dotychczas dość doktrynerskiem i teoretycznem.

*X—vita.*

---

## *Warszawa. 25 marca 1898 roku.*

Politechnika w Warszawie. — Zachowanie się ugodowców w sprawie przeznaczenia milionowej „ofiary wiernopoddańczej". — Wygodna taktyka rządu w dziedzinie szkolnictwa. — Za co musimy płacić? — Szkoły handlowe. — Szkoła pana Ronthalera i wizyta rewizora Malinina. — Odjazd arcypopa. — Lojalność Zygmunta hrabiego Wielopolskiego. — Wyrok na adw. przys. Czekalskiego.

Wiecie już z dzienników, że założenie w Warszawie politechniki, a może i rozpoczęcie w niej wykładów z dniem 1 października r. b. jest rzeczą postanowioną, wiecie także, iż na prośbę komitetu, który zajmował się w swoim czasie zbieraniem składek na »ofiarę wiernopoddańczą«, za wstawieniem się generał-gubernatora i za wolą cara milion rubli, oddanych do jego rozporządzenia na cele użyteczności ogólnej, przeznaczony został właśnie na politechnikę. Nadanie takiego przeznaczenia funduszowi, który według najgorętszych intencyi inicyatorów i głównych ofiarodawców miał pójść na założenie wielkich schronisk i przytułków dla kalek i chorych nieuleczalnych, nadanie takiego przeznaczenia jest walnem zwycięztwem opinii publicznej nad ugodowcami, jako nad ludźmi, którzy przywłaszczają sobie prawo samowolnego i ostatecznego wyrokowania o wszelkich sprawach żywotnych, o wszelkich czynach zbiorowych. Nie wchodzę w to bynajmniej, czy dzisiejszy użytek pieniędzy jest lepszy od pierwotnie projektowanego, czy wogóle jest dobry, czy nie byłoby się obeszło bez dopłaty polskiej do szkoły rosyjskiej, czy rzeczywiście założenie politechniki uczyniono zawisłem od dopłaty z naszej strony, czy nie można by było wytargować politechniki za darmo, a pieniędzy użyć na co innego, bodajby na te same schroniska czy przytułki. Bo nie należy zapominać o paru następujących rzeczach. Wszyscy przeciwnicy ugody, z demokratami narodowymi na czele, potępiali uroczystości wrześniowe, i jak najmocniej protestowali przeciw składaniu ofiary carowi. Skoro wszakże reżyserowie przyjęcia, wbrew woli większości narodu, pieniądze zebrali i dar złożyć postanowili, skoro wreszcie twierdzić zaczęli, że posiadają możność wywarcia wpływu na rodzaj użytku z owych pieniędzy, należało postarać się o nacisk, któryby skierował te pieniądze na cele dla ogółu najpożyteczniejsze. Pod owymi celami najpożyteczniejszymi większość zrozumiała cele naukowe, przedewszystkiem politechnikę. Nie było bowiem wówczas danych do przewidywania, że rząd zechce założyć taką szkołę, przeciwnie, sądziliśmy, przez analogię ze wszelkimi faktami zabiegów dawniejszych, że jedynie pod pokrywką ofiary czy fundacyi wierno-poddańczej, pod osłoną uroczystego nastroju, domagającego się upamiętnienia, zdołamy wydrzeć koncesyę na politechnikę. Ztąd poszły owe popularne zdania: »jeżeli już chcą coś zrobić, niech robią to, na coby rząd w innych warunkach nie zezwolił, niech wystarają się o pozwolenie wzniesienia politechniki«. Tak powtarzano w całym kraju, a ofiarodawcy z jakąś szczególną zaciętością zatykali uszy na głos powszechny, co więcej, z wysiłkiem przełamali nieufność cenzury i zaczęli *w Kraju*, *Słowie*, w *Kuryerze Codziennym* (przez usta Prusa) dowodzić, że przytułek dla rakowatych, syfilityków, paralityków itp., jest właśnie rzeczą stokroć wznioślejszą i potrzebniejszą od politechniki, jest owszem najmądrzejszą, najpożyteczniejszą, najpilniejszą, najszlachetniejszą itd. sprawą. Te idyotyczne sofizmaty ucierały się z niechęcią i naganą, tracąc wciąż na sile. Wreszcie przestali w nie wierzyć sami ich twórcy i głosiciele, ustąpili i poszli prosić o przeznaczenie pieniędzy na politechnikę właśnie w chwili, gdy stało się pewnem, że rząd bez ich prośby i bez ich miliona politechnikę założy. Oto dlaczego postawiłem pytanie: czy dobrze zrobili, przeznaczając milion na politechnikę? Niewątpliwie ustąpili przed wolą ogółu, i to ogółu nieugodowego, niewątpliwie zdradzili się ze słabością i zadali kłam zasadzie arbitralnego postępowania, jednakże i to jest pewnem, że na ich ostateczną decyzyę złożyły się inne jeszcze względy, prócz pragnienia dobrego porozumienia ze społeczeństwem, bo zmiana frontu była zbyt szybką, żeby nie być kompromitującą. Mojem zdaniem, dwa były takie względy, i znów oba niepochlebne dla wielkich mistrzów ugody. Przedewszystkiem sami mistrzowie byli zdania, że rząd za nic nie pozwoli na założenie politechniki i nie chcieli »narażać się«, prosząc o rzecz, źle widzianą. Że nie przewidywali istotnego zamiaru rządu, to dowód ich krótkowzroczności, ich braku informacyi, ich zupełnej nieumiejętności skorzystania z wpływów i stosunków w celu utrzymania bodaj ciągłego czucia z rządem, w celu posiadania zawsze pewnych i wyczerpujących wiadomości z ogniska władzy. Że prosić nie chcieli o rzecz, która mogła wywołać skrzywienie się cara czy ministra, to dowód, że nie mają odwagi cywilnej, ducha obywatelskiego, że nie chcą nic poświecić dla dobra społeczeństwa, nawet zaproszeń na obiady i bale dworskie. Poszli prosić dopiero wtedy, gdy nabrali pewności, że trafią w myśl rządu, a nabrali tej pewności dopiero wtedy, gdy już wróble na dachach śpiewały, że politechnika stanie. Z drugiej strony mam to za rzecz najpewniejszą, że główni ofiarodawcy miliona dowiedzieli się czy zmiarkowali, że założenie politechniki nie obejdzie się bez ofiar pieniężnych, że wypadnie znów zapłacić za ugodę, znów wkupić się do »bractwa dobrej woli«, znów okazać swą gotowość do poparcia zamiarów rządowych. Musieli tedy przyjść do przekonania, że lepiej odstąpić od świętej teoryi o paralitykach i rakowatych, niż płacić dwukrotnie, raz na tę teoryę drugi raz na szkołę. Zwinęli chorągiewkę i oddali pieniądze. Działali więc pod wpływem pobudek materyalnych, nic wspólnego z dobrem kraju nie mających. Niestety, i tym razem spotkał ich niejaki zawód. Książe Imeretyński, oznajmiając im o decyzyi rządu na założenie politechniki, dodał zarazem, że sprawa wymagać zapewne będzie jeszcze pewnych ofiar, że więc trzeba będzie zająć się znów zebraniem funduszów, a w tym celu utworzyć komitet, na ktorego czele zresztą on sam już gotów jest stanąć. Ba! mała rzecz, ale kosztowna! Jakże tu odmówić księciu Aleksandrowi Konstantynowiczowi? Jakże wypuścić z rąk sposobność kolegowania z nim, mówienia, zasiadania i... »bywania«? Oto smutna alternatywa: bez rządu źle, a z rządem kosztownie.

Swoim porządkiem, ta coraz powszechniejsza konieczność opłacania coraz nowych i coraz innych składek, ponoszenie coraz większych i coraz różnostronniejszych kosztów, może wiele dawać do myślenia. Od pewnego czasu rząd zwalnia postęp a nawet po prostu przestaje postępować w wielu bardzo dziedzinach inicyatywy publicznej, zachowując sobie tańsze i łatwiejsze stanowisko dozorcy, regulatora, kontrolera. Pomińmy inne sfery polityki wewnętrznej i zastanówmy się wyłącznie nad sprawami oświaty, a spostrzeżemy łatwo,

że dziś rząd w tej dziedzinie nie wzmaga i nie rozwija działalności innej, prócz utrzymywania tego, co było. Wszystkie szkoły specyalne powstają kosztem osób prywatnych lub zgromadzeń czy stowarzyszeń, wszystkie prawie szkoły ogólne powstają z funduszów publicznych, nawet szkoły rządowe powstają pod warunkiem i na skutek zapomogi w pieniądzach lub w naturze ze strony ludności. Utrzymują szkoły szlachetni bankierzy, utrzymują zacni obywatele, utrzymują rządne magistraty, utrzymują pracowite cechy, bogate zgromadzenia kupieckie, wielcy przemysłowcy, dorabiający się pedagogowie, ci i owi zresztą, a rząd, o ile zezwala, o tyle zastrzega sobie dozór tak drobiazgowy i ścisły, wpływ tak przeważny i wszechstronny, że szkoły prywatne stają się po prostu szkołami rządowemi, utrzymywanemi za pieniądze prywatne. Oto Warszawa ma trójwydziałową (prawie wyższą) szkołę techniczno-chemiczną Wawelberga i Rotwanda (Mittego), ośmioklasową szkołę handlową Ronthalera, czteroklasową handlową Laskusa, czteroklasową techniczną Święcimskiego, techniczną kolei Warszawsko-wiedeńskiej, handlową (prawie wyższą) Kronenberga, handlową niedzielną zgromadzenia kupców, kursy pszczelniczo-ogrodnicze Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego, itd., oto Łódź ma gimnazyum fundacyi Szajblerów, Sosnowice szkołę realną fundacyi Dietla itd., a a wszystkie te zakłady naukowe, niewątpliwie najniezbędniejsze, powstały bez przyłożenia się rządu, kosztem społeczeństwa samego. Jeżeli powiecie, że jest to rzeczą naturalną, że przecież samorząd nawet pozostawiłby utrzymanie takich szkół ofiarności społecznej, to ja odpowiem, że samorząd nie zmniejszyłby wydatków miejscowych, ale też oddałby kierownictwo nimi w ręce społeczeństwa. Gdybyśmy posiadali samorząd, płacilibyśmy zapewne »dodatki do podatków«, czy też »podatki lokalne«, ale sami nimi byśmy rozporządzali, tymczasem złe polega na fakcie, że my ponosimy koszta samorządu, nie pobierając z niego zysków, nie mając jego korzyści. Położenie jest istotnie rozpaczliwe. Rząd odmawia nakładów produkcyjnych na różne cele ogólne, np. w danym ruzie na oświatę, na cele, bez których obejść się nie możemy, czynimy więc te nakłady, a rząd podchwytuje je i obraca po swojemu. Obraca po części przeciw ofiarodawcom i przeciw społeczeństwu, wprowadzając do szkoły osobistości, a do wykładów czynniki moskiewskie, polakożerskie, niemoralne i wyzyskujące położenie. Takie stosunki panowały oddawna w szkołach prywatnych ogólnego typu, więc o tych szkołach na razie mówić nie będę, bo są to rzeczy po tysiąckroć opisane i lepiej nam znane, a nadto obecnie pod zarządem niewątpliwie uczciwego i grzecznego Ligina szkoły, pozostające w zależności od ministeryum oświaty, odetchnęły nieco. Zobaczmy natomiast, co się dzieje w szkołach specyalnych, jakie wyliczyliśmy wyżej, w szkołach, oddanych pod dozór ministeryum skarbu i nie mających reprezentanta rządowego w Warszawie.

Przed paru laty ministeryum skarbu wydało ustawę normalną szkół handlowych i wkrótce po tem zażądało od właściciela szkoły im. Kronenberga, bar. Kronenberga, żeby ją z r e f o r m o w a ł w z a s t o s o w a n i u d o u s t a w y n o r m a l n e j, a l b o j ą z a m k n ą ł. Istotnie zabroniono przyjmować nowych uczniów, pozwalając tylko starym ukończyć naukę zaczętą. Sprawa dotąd nie rozstrzygnięta, bo Kronenberg boi się losu Ronthalera.

Jednocześnie prawie, bo przed półtora rokiem założył szkołę handlową już według typu normalnego p. Ronthaler. Umiał on znaleźć niespodziewanie wielką ilość uczniów, pozyskać sympatye dla swego programu i odrazu zdobyć stanowisko pewne. To zaniepokoiło Moskali, czuwających w wydziale naukowym ministeryum skarbu. Zażądano od p. Ronthalera przyjęcia dwóch urzędników, wskazanych przez rząd: dyrektora Boborykina z p e n s y ą 5.000 rs. r o c z n i e i inspektora (Moskala) z pensyą, zdaje się, 2.000 rs. r o c z n i e. Właściciel szkoły, która już przedtem posiadała paru Moskali w osobach nauczycieli języka rosyjskiego, historyi itp. musiał oczywiście uczynić zadość wymaganiom ministeryum i przyjął, n a w ł a s n y k o s z t naturalnie, dyrektora i inspektora. Ci nie robią nic zgoła, albo raczej zajmują się bez przerwy szpiegowaniem właściciela szkoły, nauczycieli i uczniów, znieważaniem i obrażaniem ich uczuć religijnych i narodowych itp., w czem celuje szczególnie dyrektor Boborykin, który, nie bacząc, że je chleb z łaski p. Ronthalera, ośmiela się robić mu uwagi i napomnienia o s o b i s t e. Tak np. wyraża mu wielkie zdziwienie, że o n w gmachu szkolnym umieszcza zegar kalendarzowy, wskazujący doby według nowego stylu, na zebraniu nauczycielskiem oświadcza, że uczniowie Polacy odznaczają się szczególną głupotą, podsłuchuje pod drzwiami klas i poczekalni, bez porozumienia z p. Ronthalerem wydaje najważniejsze rozporządzenia, np. bez uprzedzenia właściciela szkoły nakazuje nauczycielom rozmawiać z interesantami wyłącznie po rosyjsku. Nieświadomy rzeczy ogół ojcowie i matki, składa na p. Ronthalera winy Boborykina. Ale na tem nie koniec. Przed paru miesiącami przybywa do Warszawy Malinin, wyższy urzędnik departamentu naukowego w ministeryum skarbu, wysłany w celu »zrewidowania szkół handlowych w okręgu warszawskim.« Malinin przychodzi do p. Ronthalera i zapytuje go, w jakim języku odmawiają modlitwę przed lekcyami i po lekcyach uczniowie wyznania katolickiego. Otrzymuje odpowiedź, że po polsku. »Na jakiej zasadzie?« «Na zasadzie najwyższego ukazu«. »Zkąd pan się dowiedział o istnieniu takiego ukazu? wszak ministeryum nie przesłało go panu i nie kazało stosować się doń?« P. Ronthaler odpowiada, że o ukazie wie każde dziecko, że wreszcie ukaz ogłoszony został w tym a tym numerze *Prawitielstwiennawo Wiestnika.* »Ach, więc to pan *z gazet* czerpie wiadomości o rozporządzeniach rządowych i według *gazet* kieruje szkołą. Ukaz tyczył się jedynie szkół, podlegających władzy ministeryum oświaty, choćby zaś nawet tyczył się pańskiej, panu nie wolno dowiadywać się o ukazach inaczej, jak tylko drogą urzędową.« Na takie szczególne rozumowanie p. Ronthaler odrzekł oczywiście, że jest innego zdania o zakresie mocy ukazu, jednakże rozumie, iż musi być posłusznym swej władzy bezpośredniej... »A więc proszę natychmiast polecić, żeby od jutra katolicy modlili się po rosyjsku«. »Uczynię to niezwłocznie po otrzymaniu od Ekscelencyi stosownego r o z k a z u n a p i ś m i e«. Malinina zbił z tropu obrót sprawy, nie mogąc n a p i s a ć rozporządzenia, sprzecznego z ukazem carskim, spróbował ostatecznego środka moskiewskiego, groźby, której najostrzejszym wyrazem było żądanie, aby p. Ronthaler zeznał mu na piśmie, iż wbrew wyraźnemu żądaniu zwierzchnika nie chce zaniechać zwyczaju, wprowadzonego w szkole. Ale p. Ronthaler nie dał się złapać. Natychmiast usiadł do pisania i wygotował dokument, opiewający, jako p. Malinin wymagał, żeby on, właściciel szkoły itd., zabronił odmawiać modlitwy po polsku, co zostało najwyżej rozkazane w dniu itd,, oraz, iż on, właściciel szkoły odmawia postępowania sprzecznego z ukazem. P. Malinin dokument przeczytał i... wyrzekł się go

Ta drobna garstka szczegółów jest doskonałą ilustracyą stosunków, panujących w szkołach prywatnych handlowych, a zarazem wymownie świadczy o trudnościach, z któremi walczyć musi społeczeństwo wówczas nawet, gdy pragnie wyręczyć rząd w obowiązku opiekowania się wykształceniem zawodowem ludności. Nie przesądzając tedy doniosłości przyszłej politechniki dla rozwoju przemysłowego w Królestwie, nie krytykując jej ogólnego planu i poszczególnych wydziałów, przewidywać musimy, iż pod umiejętnym kierunkiem »departamentu naukowego ministeryum skarbu« politechnika stanie się ogniskiem rusyfikacyi, i nowym zlewem na rozmaitych karjerowiczów moskiewskich, To samo oczywiście stosuje się do szkoły tkactwa, która ma być założona w Łodzi.

Wzmocniony w Petersburgu wpływ Imeretyńskiego zaznaczył się, jak mówią, usunięciem archiepiskopa chełmsko-warszawskiego Flawiana, który »z krzyżem na kłobuku« wyjechał objąć stanowisko exarchy Gruzyi. Opowiadałem dawniej o nienawiści żywionej wzajemnie przez popa i generał gubernatora; pop był zwolennikiem rusyfikacyi *à outrance* Tu miejsce i sąsiedztwo stosowne dla Zygmunta hrabiego Wielopolskiego, margrabiego Gonzagi Myszkowskiego, ordynata na Pińczowie.

Zawód polityczny rozpoczął od doradzania ojcu czynu, który stał się powodem bezpośrednim powstania, od pomysłu branki nadliczbowej z miast, której autorstwem ze ślepą dumą chełpił się przed rokiem *w Kraju*. Na schyłku życia, skazany na jałowe wycieranie przedpokojów moskiewskich, nie stracił namaszczenia, które każe mu wciąż uważać się za ministra bez teki, za polityka wolnopraktykującego, za stróża idei ugodowej. Na tle takiego usposobienia margrabia dopuścił się czynu, który zhańbił go jako człowieka, dopuścił się podłości, za którą powinien być publicznie ukarany.

Liczne grono radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego zebrało się na ucztę, która miała być pożegnaniem p. Ludwika Górskiego, ustępującego z Komitetu dla braku sił i podeszłego wieku. Na uczcie, w której brał udział prezes dyrekcyi głównej Arsenjew, w kolei toastów i *speech'ów* podniósł się p. Juljan Ostrowski, aby powiedzieć słów kilka o interesach i położeniu większej własności rolnej, o stosunkach ekonomicznych kraju wogóle. Narzekał na nie, wytykał brak środków i m o ż n o ś c i pracy nad polepszeniem rolnictwa, utyskiwał na wadliwą organizacyę kredytu, na to i na owo, przebąknął coś o zawiedzionych nadziejach, (oczywiście musiał mieć na myśli serwituty), zarysował jakieś porównanie Towarzystwa kredytowego z Towarzystwem rolniczem z 1860 roku. Na to wstał wielki margrabia, z marsem na czole i świętym ogniem w głowie, wstał i oświadczył, że spostrzega z przykrością, iż mówcy wypowiadają zdania ryzykowne i niestosowne, spostrzega, iż towarzystwo w którem się znalazł, slucha bez protestu sądów, uwłaczających polityce i zamiarom rządu, co więcej usłyszał słowa, obrażające monarchę. On nie może milczeniem zadać kłamu uczuciom wiernopoddańczym, gorejącym w piersi jego, nie może obecnością w takiem towarzystwie plamić należnego monarsze szacunku i wierności, wychodzi przeto... Wyszedł... Radcowie osłupieli, a Arsenjew, nie zbyt dobrze rozumiejący po polsku, struchlał. Pomiarkowawszy wreszcie o co chodzi, uprosił obecnych, żeby spisali mu mowę Ostrowskiego, poświadczyli ją swymi podpisami i dali mu, aby miał się czem bronić, gdy napadną go, iż cierpiał obelgi, wymierzone na cara. Arsenjew ręczył, że nie widzi w mowie nic nieprawomyślnego, przeto postępek Wielopolskiego był jedynie dowodem uczuć nizkich, nikczemnego zaprzaństwa.

A przecież tego rodzaju psie natury inspirują cały obóz ugodowy. Te retycy, jak Straszewicz i Piltz, wycierają szynki z żandarmami, politycy i luminarze, jak Wielopolski, denuncyują swych kolegów i sąsiadów.

Nadesłano z Petersburga wyrok na adw. przys. Czekalskiego, który był aresztowany w lecie 1896 r. i siedział pół roku w cytadeli. Wyrok skazuje p. Czekalskiego na cztery lata zesłania do gub. Wiackiej i pozbawia go stopnia adwokata przysięgłego. Jest to zupełnie nowy a bezprawny rodzaj kary.

*X—vita.*

---

*Dąbrowa Górnicza, w marcu 1898 r.*

Budowa koszar. Pominięcie robotników. Polityka ugodowa w szkole i możliwe jej skutki.

I naczelnicy powiatów bywają czasem grzeczni, a nawet czuli! Mamy właśnie przed sobą cyrkularz naczelnika powiatu będzińskiego Nr. 4934 z dnia 18 lutego (2 marca) b. r., rozesłany do przemysłowców zagłębia dąbrowskiego a dotyczący sprawy budowy w Będzinie koszar dla pułku kozaków, kosztem wspomnianybh przemysłowców. Ton cyrkularza, zaczynającego się od słów „*Miłostiwyj gosudar*“ a kończącego się zapewnieniami „*sowierszennawo pocztienia i iskrenniej predannosti*“ jest rozczulająco grzeczny i serdeczny! — Serdeczność owa wprawdzie nie jest bezinteresowną, cyrkularz bowiem wzywa do spiesznego wpłacenia do kasy powiatowej sumy na budowę owych koszar, przypadającej od każdego przemysłowca w stosunku do liczby zatrudnianych przez niego robotników, nie zmienia to jednak postaci rzeczy, tak grzecznego bowiem tonu nie używają władze rosyjskie nigdy, nawet wtedy, gdy wzywają polskie społeczeństwo do składek na pomniki dla rosyjskich „*diejatieli*“ w rodzaju Murawiewa — do ofiar na cerkwie, ochronki, »Czerwony krzyż« i t. d.

Wyjątkową serdeczność przytoczonego powyżej cyrkularza łatwo zrozumiemy, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak wielką korzyść osięga rząd z powodu budowy owych koszar. i jak wielką zasługę zyskuje wobec władzy p. naczelnik za zręczne sprawy tej przeprowadzenie.

Jeszcze w lecie roku 1896 udało się naczelnikowi powiatu podsunąć zręcznie paru miejscowym towarzystwom przemysłowym myśl, że z powodu częstych rozbojów i napadów, zdarzających się w naszej okolicy, oraz z powodu wybuchających od czasu do czasu strejków robotniczych, byłoby rzeczą nader dla przemysłowców wygodną, gdyby stale konsystował w okolicy pułk kozaków. Jednocześnie zapewnił p. naczelnik, że rząd, który dobro przemysłowców zawsze czułą opieką otacza, radby i tym razem okazać im swą życzliwość, są jednak pewne formalne trudności, dla których uczynić tego nie może, a mianowicie nadgraniczne położenie zagłębia dąbrowskiego, nie dopuszczające liczniejszego gromadzenia sił zbrojnych, stawiania magazynów wojskowych, koszar i t. d. Ponieważ jednak nie ma prawa, któreby obejść się nie dało, sądzi przeto p. naczelnik, że gdyby przemysłowcy od siebie zrobili odpowiednie podanie i zadeklarowali własnym kosztem budowę koszar, to — zwłaszcza wobec jego przychylnej opinii — dałoby się może uzyskać pozwolenie na budowę koszar i stałe konsystowanie pułku kawaleryi. Czy p. naczelnik mówił prawdę, czy też opowiedział przemysłowcom bajeczkę, twierdzić stanowczo nie możemy, faktem jest jednak, że chciał rząd mieć w zagłębiu pułk kawaleryi, i że chęć tę chciał upozorować potrzebą bezpieczeństwa miejscowych przemysłowców. Dalszy ciąg tej komedyi

jest już nader prosty. Nie pozwalające się nikomu wyprzedzić w dowodach lojalności »Huta Bankowa« i towarzystwo sosnowickie dały inicyatywę i wystosowano do gubernatora prośbę o wyznaczenie do zagłębia dąbrowskiego na stałe kwatery pułku kawaleryi, motywując swą prośbę rozbojami, kradzieżami, a nadewszystko częstymi i groźnymi strejkami i deklarując na ten cel ofiary pieniężne. Z odezwy tych dwóch towarzystw zrobiono w Piotrkowie prośbę wszystkich przemysłowców i poruczono naczelnikowi powiatu sprawą tą zająć się na miejscu. Ogół przemysłowców został wprost zaskoczony; z początku protestowano, później jednak, bojąc się narazić na zarzuty nieprzychylności i wystawić na prześladowania władz, zgodzono się biernie na wszystko. Sztab wojskowy w Warszawie robiąc dla pozorów trochę ceregieli, w końcu uwzględnić łaskawie raczył prośbę zagrożonych w bezpieczeństwie przemysłowców zagłębia dąbrowskiego i zatwierdził oficyalnie projekt i kosztorys koszar (około 250.000 rubli), uprzednio już w biurze jego sporządzony.

Obecnie, tym to właśnie arcygrzecznym cyrkularzem wzywa p. naczelnik do płacenia pieniędzy na budowę koszar, które, jak powiada, powinny być wykończone nader pośpiesznie, w lipcu bowiem przychodzi na stałe kwatery pułk kozaków.

Krytykować zachowania się pp. przemysłowców nie będziemy, wyrobili sobie już bowiem ustaloną opinię, sam wreszcie fakt jest tak wymowny, że specyalnego oświetlenia nie potrzebuje. Podkreślę tylko ten charakterystyczny szczegół, że najenergiczniej stosunkowo protestowali przemysłowcy pochodzenia niemieckiego, jak firma »Fitzner i Gamper«, obaj Schön'owie, kopalnia »Saturn« księcia Hohenlohe'go, a nawet hojny ofiarodawca na cerkiew w I gimnazyum w Warszawie Dietel, ów sławny Dietel oponował.

W dniu 1 marca (17 lutego) b. r. odbyła się w gminie »Górnicza« w Dąbrowie publiczna licytacya na budowę szkoły początkowej dwuklasowej męzkiej i żeńskiej, obliczonej mniej więcej na 600 dzieci. Szkoła powstaje z funduszów, zaoszczędzonych z jednoprocentowych potrąceń od zarobków miejscowych robotników. Od kosztorysu, wynoszącego 25360 rubli, ustąpiono 4360 rubli. Osobliwością w całej tej sprawie jest fakt, że zupełnie pominięto jedynie zainteresowanych i prawomocnych do decydowania robotników i ani nie przedstawiono im planu i kosztorysu, ani nie zawezwano do obecności przy licytacyi. Nie przypuszczamy, aby kosztorys był sporządzony umyślnie wyżej istotnych kosztów, lub żeby do licytacyi wkradła się jakakolwiek nieprawidłowość, licytacya bowiem odbywała się w obecności przedstawicieli miejscowych przemysłowców, ludzi uczciwych. Czy jednak tego rodzaju pominięcie robotników, odebranie im możności rozpatrzenia projektu, kosztorysu i uczestniczenia przy licytacyi nie jest bezprawiem? Czy tego rodzaju postępowanie nie wywoła znów podejrzeń i insynuacyj, o których kłamliwości przekonać robotnika będzie później niewypowiedzianie trudno. Zapraszając po kilku przedstawicieli robotników z każdej fabryki, uniknęłoby się wszelkich zarzutów. A potem ci panowie ubolewać będą, że robotnicy z nieufnością patrzą na ich dobre chęci.

Jeden z najżarliwszych miejscowych działaczów ugodowych, uniwersalny prezes wszystkich legalno-lojalnych stowarzyszeń w Dąbrowie, dyrektor kopalni węgla, a zarazem profesor geologii i języka polskiego w miejscowej szkole sztygarów, od niejakiego czasu, zamiast rzetelnie zająć się wykładem gramatyki, stylistyki i historyi literatury polskiej, na lekcyach języka polskiego rozwija przed młodzieżą zbawczy program polityki ugodowej! Jesteśmy głęboko przekonani, że trudy p. profesora nie wydadzą pożądanego dlań plonu, natomiast może go spotkać los jego politycznych kolegów, pp. Baranowskiego i Wydżgi. Przykłady bywają zaraźliwe.

*Małopolanin.*

---

## Z ZABORU PRUSKIEGO.

### OSWIADCZENIE POSŁÓW POLSKICH.

Przy drugiem czytaniu w parlamencie niemieckim, projektu rządowowego powiększenia marynarki książę Radził w imieniu posłów polskich oświadczył, że chociaż Koło uznaje poważne względy, które rząd do wniesienia projektu skłoniły i nie przeczy, że wzmocnienie floty jest dla państwa niemieckiego potrzebnem, głosuje jednak odmownie.

»Są chwile w życiu parlamentarnem, w których reprezentanci wyborców obowiązani są brać na uwagę całe polityczne stanowisko rządu wobec najżywotniejszych ich interesów i w których powinni, a nawet muszą, protest swój przeciw temu stanowisku wyrażać w formie odmownego głosowania nad zwiększonemi żądaniami rządu.

»I dla tego musimy odpowiedzialność za nasze stanowisko złożyć na ten rząd, który świeżo przez usta wiceprezesa pruskiego ministerstwa stanu w pruskiej izbie deputowanych – części ludności i to właśnie tej, którą w tej wysokiej izbie reprezentujemy, wypowiedział wojnę.

Nie możemy uważać za prosty przypadek, że właśnie w chwili, w której w rzeszy wielkie się czyni wymagania w interesie ogólnym od siły podatkowej kraju, w pruskiej izbie deputowanych żąda się funduszu stumilionowego w tym wyraźnym celu, aby ludność, którą tutaj reprezentujemy, gorzej ekonomicznie postawić od niemieckiej.

»Pan wiceprezes ministerstwa stanu posunął się jeszcze dalej, zatknął rodzaj Gesslerowskiego kapelusza, pozwalając sobie wobec reprezentantów ludności polskiej wezwać większość izby deputowanych: natrzyjcie tylko ostro na Polaków, a wnet skruszeją!

»M. p. Wobec tego niepozostaje nam nic innego jak dać odpowiedź na to przy tej sprawie, ile że właśnie pan wiceprezes ministerstwa uznał za stosowne ujemnie krytykować nasze stanowisko w sprawie marynarki, określając stanowisko swoje wobec nas. To jest nasza odpowiedź na jego ujemną ówczesną krytykę«.

Z oświadczenia ks. Radziwiłła cała prasa polska, nie wyłączając organów ruchu ludowego, jest zadowoloną. *Orędownik* nazywa uzasadnienie głosowania »dobrem, gruntownie obmyślanem, prostem, szczerem i wyraźnem«. »Nie deklaracya p. Komierowskiego — czytamy w tem piśmie zapowiadająca jakąś »opozycyę«, a bliżej jej nieokreślająca, ale deklaracya ks. Radziwiłła w sprawie marynarki ściągnęła posłów Koła parlamentarnego, utykających przez lat 6 po bezdrożach, do linii demarkacyjnej naszej opozycyi«.

»Dziwna rzecz, że na miejscu okazał się efekt niespodziewany. Kiedy na całe, pełne uległości zachowanie się polityki ugodowej, którą Koło parlamentarne uporczywie do ostatnich dni uprawiało, rząd odpowiadał w końcu groźnie i wprost szorstko, — wystarczyło teraz jedno oświadczenie ze strony Koła: *non possumus* — nie będziemy głosowali za projektem! — żeby pobudzić reprezentanta rządu do zapewnienia: że w rządzie nikt nie myśli polaków — niemczyć, boby to była nawet rzecz — nierozsądna!«

»To efekt niespodziewany, oczywiście — tylko efekt, Zawsze jednak lepsze to od ciągłej obawy, że jak się nad-

stawi jednego policzka, to skutek okaże się nietylko na nim, ale także i na tym, którego się nie nadstawiło.«

Istotnie, sekretarz stanu Posadowsky, zastępca kanclerza rzeszy, odpowiadając na deklaracyę Koła polskiego, zapewniał, że «rząd jest daleki od prowadzenia wojny politycznej z Polakami, jak również od chęci zgermanizowania ludności polskiej. »Takie usiłowanie — powiedział p. Posadowsky byłoby bezowocnem, oraz, o ile znam stosunki, nie mądrem (*thöricht*). Ale rząd reprezentuje interes państwa i w tym interesie stara się tylko o utrzymanie i wzmocnienie żywiołu niemieckiego«.

Przy trzeciem czytaniu projektu znowu zabrał głos książę Radziwiłł i wyraził ubolewanie, że »rząd pruski w swawolny (?) i nie uzasadniony sposób zniweczył to, co dałoby nam możność zaznaczenia naszych uczuć i sympatyi dla marynarki«. Ta reminiscencya polityki ugodowej była zgoła niepotrzebną, i dała p. Posadowskiemu sposobność do odpowiedzi, zapewniającej, że »jeżeli polscy posłowie udowodnią, iż ludność polska całą swą przyszłość upatruje w rozwoju Prus i Niemiec, to w tejże chwili zmieni się postępowanie rządu pruskiego względem Polaków«.

### SPRAWOZDANIA TOWARZYSTW.

Dwa towarzystwa, mające pierwszorzędne znaczenie dla społeczeństwa polskiego w Poznańskiem, ogłosiły teraz właśnie sprawozdania za rok ubiegły. Mamy tu na myśli Towarzystwo pomocy naukowej i Towarzystwo czytelni ludowych.

Sprawozdanie pierwszego towarzystwa wykazuje, że dochód ze składek przyniósł w roku ubiegłym 24,586 mk., prawie 700 mk. więcej, jak w r, 1896.

Na stypendyatów wydano 57,589 mk. tj. 3,769 mk. więcej, aniżeli w roku poprzednim.

Mianowicie wydano:

1) na akademików 18,000 mk.
2) na techników, aptekarzy i zawody praktyczne = 21,997 mk.
3) na gimnazistów i uczniów szkół średnich — 17.525 mk.

Od pewnego czasu coraz częściej odzywają się głosy, że Towarzystwo powinno przedewszystkiem wspierać młodzież, poświęcającą się zawodom praktycznym. Ze sprawozdania widzimy, że Towarzystwo czyni zadość tym wymaganiom, ale nie powinno wpadać w jednostronność na szkodę młodzieży, oddającej się studyom uniwersyteckim. Ani lekarzy, ani adwokatów Polaków nie mamy w zaborze pruskim za dużo przeciwnie, mogłoby znacznie więcej ludzi, poświęcających się tym zawodom, znaleźć zarobek i pracować z korzyścią dla społeczeństwa, któremu brakuje inteligencyi niezależnej

Towarzystwo pomocy naukowej ma stypendyatów i za granicą, w Paryżu i Szwajcaryi, dla czego nie ma ani jednego w Galicyi? Wprawdzie szkoły galicyjskie są gorsze od zagranicznych, sądzimy jednak, że kierowanie do nich młodzieży z zaboru pruskiego byłoby z wielu względów pożytecznem.

Sprawozdanie Towarzystwa czytelni ludowych zaznacza, że rok ubiegły nie należał do pomyślnych. W pierwszej połowie roku musiano zawiesić wszystkie czynności żeby spłacić długi z lat dawnych. Pomimo to założono w r. 1897 49 nowych czytelni i rozesłano 24.807 książek. Ten względnie pomyślny rezultat zawdzięcza Towarzystwo w znacznej mierze ofiarności osób prywatnych pp. Bełzy i Wawelberga i wydawnictwa ks. Bażyńskiego, które ofiarowało 8500 książek, przeważnie treści religijno-moralnej.

Bilans Towarzystwa tak się przedstawia:

Dochód wynosił: Roczne składki 5075,16 mk. — Nadzwyczajny dochód 3760,30 mk. — Suma dochodu 8835,46 mk.

Rozchód: 1) zakupno książek 4117,65 mk. 2) oprawa 2885,10 marek. 3) koszta biurowe 1457,06 mk. 4) zwrot pożyczki do funduszu dr. Jerzykowskiego 370 mrk. Razem 8829,81 mrk. Remanent wynosi 5.65 mk.

Długi Towarzystwa wynosiły pod dniem 31 grudnia 1897 r. 5187,28 mk.

Towarzystwo ma niewątpliwie prawo odwoływania się do ofiarności ogółu i nawet poskarżenia się na jego obojętność. Nie należy jednak wpadać w ton pesymistyczny. Dziś działalność Towarzystwa musi być skromniejszą bo lud coraz więcej sam zaczyna kupować książki i prenumerować pisma.

Na walnem zebraniu rzucono projekt utworzenia stałego wydawnictwa na wzór »Macierzy« galicyjskiej. Projekt wydał się dla towarzystwa zbyt ryzykownym, może jednak dojdzie do skutku na innej drodze.

Powiedzieliśmy już dawniej i dziś powtarzamy, że Towarzystwo czytelni ludowych mogłoby liczyć na ofiarność społeczeństwa polskiego w innych dzielnicach, gdyby działalność jego była lepiej znaną i gdyby pomiędzy Poznaniem a Galicyą i Królestwem istniały stosunki bliższe, U nas ofiarność stoi jeszcze na tym poziomie, że trzeba ją ułatwiać, trzeba do niej zachęcać lub przynajmniej kierować dobremi chęciami ofiarodawców.

### ZAKAZANIE PIEŚNI POLSKIEJ.

Zakazanie klerykom Polakom w Pelplinie śpiewania pieśni »Serdeczna Matko« z powodu, że melodya jej przypomina melodyę hymnu »Boże coś Polskę« nastąpiło podobno na prośbę kleryków Niemców, skarżących się, że ta pieśń obraża ich uczucia narodowe.

Pisma polskie przy tej sposobności zwracają uwagę, że w niektórych kościołach pieśń: «Do Ciebie odwieczny Panie« śpiewają na nutę swawolnej burszowskiej pieśni niemieckiej *In einem kühlen Grunde.* To władzy duchownej nie razi.

Usiłowanie usprawiedliwienia biskupa chełmińskiego i jego doradzców, że muszą ulegać »mocnym wpływom rządu«, bo i dziś *kulturkampf* istnieje, tylko cichy — jest w prasie polskiej, co najmniej, nie właściwem. Słusznie powiada *Gazeta toruńska*, że jeżeli naczelny prezes ma rządzić w dyecezyi i w seminaryum, »to niech będzie raczej jawny *kulturkampf* a nie byłoby tej dusznej atmosfery«.

## Z GALICYI.

### UDZIAŁ POLAKÓW W RZĄDZIE CENTRALNYM.

Niejednokrotnie dzienniki wiedeńskie pisały, że Polacy coraz częściej zajmują wybitne stanowiska w rządzie centralnym, Te stanowiska w głównych urzędach państwowych są istotnie wpływowemi, ważniejszemi od tek ministeryalnych, na które nasi politycy są tak łakomi. Ale, niestety, właśnie tych stanowisk Polacy nie zajmują w takiej liczbie, do jakiej mają prawo nie zaprzeczone. Najlepiej to uwydatnia *Hof und Staatshandbuch* na r. 1898.

W radzie ministrów na 10 posad konceptowych znajduje się jeden radca ministeryalny i jeden sekretarz ministeryalny, tj. dwóch Polaków. W ministerstwie spraw we-

wnętrznych na 63 posady jeden radzca ministeryalny, jeden radzca sekcyjny, jeden sekretarz ministeryalny, 2 wicesekretarzy ministeryalnych, ogółem przeto 5 Polaków.

W ministerstwie wyznań i oświaty na 52 posady: jeden radzca ministeryalny i jeden sekretarz — zaledwie dwóch Polaków! W ministerstwie sprawiedliwości na 22 posady dwóch radzców sekcyjnych. W ministerstwie skarbu na 93 posady: jeden szef sekcyi, jeden radzca ministeryalny, 2 sekretarzy ministeryalnych, 2 ministeryalnych wicesekretarzy, ogółem 6 Polaków. W ministeryum handlu na 69 posad: jeden sekretarz i jeden wicesekretarz ministeryalny.

W ministerstwie kolei żelaznych na 24 szefów departamentów jeden Polak.

W ministerstwie rolnictwa na 33 posady jeden Polak, sekretarz ministeryalny. W trybunale administracyjnym na 26 posad jeden Polak, radzca dworu (ranga równająca się radzcy ministeryalnemu). W najwyższym trybunale sądowym na 63 posady 11 radców dworu. W najwyższej izbie obrachunkowej niema ani jednego Polaka. Razem więc na 500 blisko posad znajduje się zaledwie 34 Polaków i z tych tylko jeden na urzędzie szefa sekcyi tj. pierwszym po ministrze. Gorzej ma się jeszcze rzecz z wspólnemi ministerstwami dla obu połów monarchi: spraw zagranicznych, wojny i wspólnego minjsterstwa skarbu, któremu to ostatniemu podlega także administracya Bośnii i Hercogowiny w tych bowiem urzędach centralnych niema z wyjątkiem hr. Gołuchowskiego, ani jednego Polaka.

Charles Dilke zaznaczył kiedyś, że Węgrzy wpływ swój na politykę Austryi zawdzięczają w znacznej mierze obsadzeniu przez swych ziomków ważnych stanowisk w ministeryach wspólnych wojny, spraw zagranicznych i skarbu. Polacy, jak to fakty niejednokrotnie wykazały, żadnego wpływu na politykę zagraniczną Austryi nie mają. Ta polityka nie bierze nigdy w rechubę naszych interesów narodowych i galicyjscy mężowie stanu uważają to za rzecz zupełnie naturalną, nie marzą nawet żeby inaczej być mogło.

### DOBRY POCZĄTEK.

Pierwsza w Galicyi próba urządzenia t. zw. wszechnicy ludowej na małą skalę, dobiegnie niebawem kresu. Towarzystwo szkoły ludowej, wprowadzając przed czterema miesiącami w mieście Krakowie stałe systematyczne wykłady popularne, podzieliło je na dwa sześciotygodniowe kursy. Dotychczas ukończono jeden kurs cały i więcej niż połowę drugiego. Każdy z nich obejmuje 36 wykładów, po sześć z każdego przedmiotu. Przedmioty zaś obrano na razie następujące:

W kursie pierwszym: przedrozbiorowa historya Polski, ogólny zarys polskiej literatury, zasadnicze wiadomości z geografii powszechnej, astronomii wraz z meteorologią, z geologii, wreszcie z nauk społeczno-prawnych.

W kursie drugim: dzieje Polski porozbiorowe, życie i dzieła Mickiewicza, ludy zamieszkujące ziemię, najpotrzebniejsze wiadomości z hygieny, o skarbach podziemnych, nakoniec nauk społeczno-prawnych ciąg dalszy.

Z dotychczasowego przebiegu akcyi nabrać można przekonania, że zarząd Szkoły ludowej jął się jej poważnie, i praktycznie. Przedewszystkiem wyszukano prelegentów, czyniących w zupełności zadość wymaganiom bezsprzecznie trudnym. Mimo to pokazało się, że wyznaczanie dla każdego przedmiotu równej liczby wykładów po sześć, najzdolniejszemu prelegentowi sprawić może trudności niepokonalne. Są przodmioty, jak geologia, geografia i t. p, które snadnie w sześciu wykładach zamknąć się dają, inne wszakże jak historya, literatura, jeśli wykład nie ma ograniczać się powierzchownym zarysem lub suchem wyliczeniem faktów, wymagają koniecznie większej nieco liczby godzin. Jestto, rzecz oczywista, jeden z wielu szczegółów, których uczy doświadczenie. Powtóre, w celu udostępnienia wykładów warstwom szerszym i uboższym, ustanowiono możliwie nizkie opłaty. I tak karta wstępu na dwa całe kursy z 72 wykładów złożone, wynosi 1 złr. 50 ct., na jeden kurs z 36 wykładów — 1 złr. na jedną seryę 6 wykładów — 20 ct. na jeden tylko wykład — 5 ct. W dodatku i te ceny obniżano do połowy cechom, korporacyom i każdemu, kto o to prosił, wreszcie rozdano także trochę kart za darmo.

Widzimy więc, że ułożono z góry jak najłatwiejsze warunki. Pytanie, jak dopisała frekwencya? Nagie cyfry dają wprawdzie odpowiedź nie bardzo pomyślną, jednak nie tak znowu ujemną żeby należało rozpaczać. Przeciętnie uczęszczało na wykład około 200 osób, można zatem przyjąć cyfrę 1200 słuchaczy wszystkich przedmiotów, jednym kursem objętych. Niewątpliwie liczba to niewielka. Następnie, choć nie prowadzono zdaje się dokładnej statystyki zawodów, wszakże na oko sądząc, można stwierdzić, że ci, dla których przedewszystkiem wykłady. były przeznaczone t. j. drobni rzemieślnicy i robotnicy, tworzyli zaledwie trzecią część łącznej sumy słuchaczy, reszta składa się z t. zw. inteligencyi, wśród której przeważały kobiety. Zauważono też, że niektóre przedmioty, jak geografia, geologia, meteorologia znacznie mniejszą cieszyły się frekwencyą niż inne.

Powyższe cyfry nie powinny zrażać nikogo. O garnięciu się mas do nowego przybytku oświaty, niema jeszcze mowy, ale to przedewszystkiem dopiero początek, i jak każdy początek trudny. Systematyczność kursów, jako rzecz u nas nowa, musi wpierw zwalczyć przesądy i uprzedzenie, wyrobić w szerszych warstwach ludności zrozumienie potrzeby poważniejszej pracy umysłowej i przejąć je niekrótko trwałym do niej zapałem. A na to potrzeba i czasu i niezrażania się pierwszemi przeszkodami.

Po zamknięciu okresu próbnego, o którym mowa, okażą się też niewątpliwie pewne braki w samej organizacyi kursów głównie może pod względem agitacyjnym których zrazu trudno było uniknąć, a które w przyszłości trzeba będzie usunąć.

W każdym razie ważnym dla dalszego rozwoju sprawy dokumentem będzie pierwsze sprawozdanie zarządu tow. Szkoły ludowej, z tej nowej gałęzi jego działalności. Przypuszczać należy, że da ono dokładny i prawdziwy obraz całej akcyi, że nie pominie żadnego szczegółu ważnego, ani w kierunku dodatnim ani ujemnym. Interesującą będzie również administracyjna część sprawozdania, o kosztach kursami spowodowanych, i dochodach, jakie uzyskano z kart wstępu. Na podstawie tych danych bowiem nie trudno będzie rozstrzygnąć kwestyę zasadniczą czy ciężary »wszechnicy ludowej« może przyjąć na siebie i przez czas dłuższy znosić jedna z instytucyj już istniejących, mająca wszakże główny cel i zakres działania inny, czy też koniecznem będzie pomyśleć o założeniu osobnego, wyłącznie celom uniwersytetów ludowych służyć mającego Towarzystwa, które rozumie się musiałoby organizacyą i działalnością swoją podobnie jak »Szkoła ludowa« cały kraj objąć.

Na razie z zadowoleniem wypada zaznaczyć, że zarząd główny tow. Szkoły ludowej dotychczasowym przebiegiem akcyi w Krakowie wcale się nie zraża, lecz owszem uczynił już krok dalszy, urządzając podobne kursy z historyi polskiej, geografii i hygieny — w gminie Bronowicach dla ludności wiejskiej. Bodaj, czy ta druga próba nie będzie lepszą jeszcze zapowiedzią powodzenia wszechnic ludowych w Galicyi, niż pierwsza.

## *Z KRESÓW.*

WIEC W LĘBORKU.

Z powodu wiecu, urządzonego w Lęborku w Pomeranii, niektóre pisma wystąpiły z zarzutami, że jest to agitacya nie potrzebna, bo skutków pozytywnych mieć nie może i szkodliwa bo daje Niemcom powód do wykazywania, że społeczeństwo poskie nie przestaje na odporze, lecz występuje wszędzie zaczepnie przeciw niemczyznie.

Inicyatorowie wiecu, pp. Kulerski i Brejski słusznie nie zwracają uwagi na te zarzuty. »P. p. Brejskiemu i Kulerskiemu — pisze *Gazeta grudziądzka* — wystarcza tymczasem jako zapłata, cenniejsza nad wszystkie inne, gorące przyjęcie, jakie im zgotowali biedacy zaniedbani przez całe stulecia, głębokie wzruszenie i rozrzewnienie, jakie się na twarzach ich malowało podczas mów, i łzy, z któremi w oku błagali, aby o nich pamiętać, aby znowu do nich wrócić«.

Zresztą agitacya polityczna wśród Polaków w Pomeranii wcale nie jest bezużyteczną, owszem przynieść może pośrednio korzyść realną.

W okręgu wyborczym lęborsko-słupskim zwycięża zwykle konserwatysta, kilku kilkunastu lub w najlepszym razie kilkudziesięciu głosami kandydata wolnomyślnego.

«Polacy w tymże okręgu gotychczas w wyborach nie brali udziału, a jednakże mogą się zdobyć na 200 — 300 głosów. Jasną jest więc rzeczą, że 200 — 300 głosów polskich musi zaważyć na szali i gdy Polacy zechcą - - zwycięztwo przychylić na stronę np. wolnomyślnego. Nie stanie się to naturalnie bez podobnej przysługi wolnomyślnych w innym okręgu wyborczym, np. w sztumsko kwidzyńskim który tym razem koniecznie zdobyć musimy.

»Podobnie mają się rzeczy w okręgu wyborczym bytomsko-remelsburskim. I tam będzie kilkaset głosów polskich, za które od wolnomyślnych będzie można wytargować pomoc w okręgu człuchowsko-złotowskim, albo też gdzieindziej«.

Tak więc mogą Polacy za pomocą tych kilkuset głosów zdobyć dwa okręgi wyborcze w Prusiech Zachodnich.

Dodać trzeba, że na ostatnim zjeździe delegatów zachodnio-pruskich w Grudziądzu postanowiono rozszerzyć agitacyę przedwyborczą na okręgi polskie w Pomeranii. Ponieważ nikt uchwały tej nie wykonał, pp. Kulerski i Brejski zabrali się do dzieła na własną odpowiedzialność i dobrze zrobili.

KSIĘŻA i KATOLIK.

Odezwa księży, skierowana przeciw *Katolikowi* poruszyła i oburzyła do żywego lud na Górnym Śląsku. Niektórzy księża nawet stanęli po stronie pisma, prześladowanego przez duchowieństwo zniemczone. Okazuje się, że na wielu księży wywierano nacisk, żeby odezwę podpisywali, podobno nawet kilku bez pytania ich o pozwolenie podpisano. Ks. proboszcz Jasik z Leśnicy publicznie oświadczył, że nie podpisał odezwy, chociaż na niej znajduje się jego podpis. To już pachnie fałszerstwem.

*W Katoliku* i *Gazecie opolskiej* zamieszczają księża listy, protestujące przeciw postępowaniu germanizatorów. *Katolik* ogłosił, że nie będzie miał urazy do księży, którzy odezwę podpiszą, chociaż są przyjaciółmi pisma. Na to jakiś ksiądz odpowiada *w Gazecie opolskiej*, że się na taką radę nie zgadza.

»Jakkolwiek położenie księży jest trudne, to jednak niedobrze uczyniono, bo rada do niemoralnego uczynku sromoci naszą stronę, gdy się taka bezcharakterność w niej objawia. Prosta droga zawsze najlepsza. A kto ma iść prostą drogą, jeśli nie kapłan? Wiem dobrze, że niektórzy księża dali swój podpis, a w rzeczywistości wcale z oświadczeniem się nie godzą. Przyjaciele i nieprzyjaciele są pod oświadczeniem podpisani. Niektóre mianowicie podpisy zrobiły przygnębiające wrażenie, szczególnie na naszą kształcącą się młodzież, co spostrzegłem i doznałem przykrego uczucia. Zachodziły w ostatnich czasach wypadki, że świeccy ludzie, przyparci do muru i dostawszy się w krzyżowe ognie, zawiedli nasze zaufanie i ośmieszyli siebie i sprawę. Niechby kapłani przynajmniej pod każdym względem byli przykładem stałych przekonań i nieugiętego ducha. Bo inaczej, gdy wszędzie będzie taka chwiejność, szczególnie tam, zkąd przykład prawdy i szczerości ma jasno świecić, to cóż z nami się w końcu stanie?«

*Germania* stanęła po stronie księży występujących przeciw *Katolikowi* i w polemice z powodu tej sprawy z *Dziennikiem poznańskim* naśladuje argumentacyę hakatystów, bredząc o agitacyi wielkopolskiej. Wogóle centrum coraz bardziej zbliża się do rządu, a kardynał Kopp wyjechał do Rzymu w charakterze agenta dyplomatycznego w sprawie chińskiej, właściwie w sprawie protektoratu nad misyami w Chinach.

Zdaje sie, że przy wyborach Polacy na Górnym Śląsku będą musieli zerwać sojusz z centrum. Trudno n. p. przypuścić, żeby księża wojujący *z Katolikiem* zgodzili się na kandydaturę p. Napieralskiego, którego wyborcy polscy koniecznie chcą mieć posłem. Widocznie lęka się tego zerwania kardynał Kopp, bo dowiadujemy się w ostatniej chwili, że ogłosił w dziennikach list, potępiający wystąpienie księży przeciw *Katolikowi.*

---

## *Z WYCHODZTWA I KOLONIJ.*

„DZIENNIK BERLIŃSKI.“

Założony z inicyatywy ks. Wawrzyniaka stał się później *Dziennik berliński* własnością spółki, złożonej z przedstawicieli polskiej kolonii berlińskiej, głównie przemysłowców i rzemieślników, którzy złożyli na wydawnictwo 20.000 marek Wtedy *Dziennik*, z którego dosyć często przytaczaliśmy wyjątki, w sprawach politycznych zaboru pruskiego zajmował stanowisko niezależne, solidaryzując się zwykle z ruchem ludowym. Pod względem literackim pismo redagowane było starannie, staranniej i żywiej, niż wielkie dzienniki poznańskie. Od pewnego czasu jednak, zapewne w miarę wyczerpywania się funduszu wydawniczego, zauważyć można było w *Dzienniku berlińskim* zmianę tonu, nieznaczne zrazu przychylanie się do polityki ugodowej. Wreszcie wygłosił hasło, że politykę trzeba zmienić, ale zostawić tych samych posłów.

Teraz piszą, że wydawnictwo *Dziennika* likwiduje się, redakcya zaś oświadcza, że pismo przechodzi »w inne ręce.« W czyje? — Niewiadomo, prawdopodobnie w ręce ludzi, którzy będą chcieli prowadzić politykę dotychczasową kół poselskich.

Niepowodzenie *Dziennika berlińskiego* nasuwa pytanie: czy pismo, w taki sposób prowadzone, ma warunki utrzymania się w Berlinie? Naszem zdaniem, pisma dla czytelników, mających wyższy poziom inteligencyi kolonia polska w Berlinie nie utrzyma. *Dziennik* zamieszczał nieraz dobre artykuły, ale zanadto akademickie. Powodzenie, ze względu na skład kolonii polskiej, mogłoby mieć tylko pismo, prowadzone popularnie i w duchu szczerze demo

kratycznym, ludowym, inne nie znajdzie dostatecznej liczby prenumeratorów, wymagać będzie zasiłków, które się w końcu wyczerpią. Pismo dla inteligencyi, wydawane w Berlinie, miałoby chyba wtedy powodzenie, gdyby było przznaczone dla całego zaboru pruskiego i prowadzone jak wielkie dzienniki, ale zręczniej i staranniej, żeby pobiło je w walce współzawodniczej.

*Dziennik* miał charakter połowiczny, chciał zadowolnić wymagania czytelników z różnych warstw i różnego poziomu inteligencyi, co jest zadaniem bardzo trudnem, bodaj niemożliwem.

## *PRZEGLĄD PRASY.*

— Nawet *Czas* karci naiwnych plotkarzy ugodowych, którzy z faktu mianowania archireja Flawiana exarchą, a generała Puzyrewskiego generał-gubernatorem wysnuwają fantastyczne wnioski. Wykazaliśmy już niedorzeczność tych konceptów politycznych, nie zawadzi jednak przytoczyć argumentacyi *Czasu*, dokładniej mówiąc, jego korespondenta petersburskiego.

W korespondencyi *Kuryera Poznańskiego* między innemi powiedziano, że ks. Imeretyńskiemu udało się usunąć dwóch swoich wrogów i znanych rusyfikatorów: naczelnika sztabu warszawskiego okręgu wojennego, generała Puzyrewskiego i archijereja chełmsko-warszawskiego, Flawiana, który został zdegradowany na exarchę Gruzyi Nie wiem zkąd czerpał swoje informacye korespondent, ale to pewna, że je zaczerpnął z sfer zupełnie nieznających stosunków. Charakterystyka polityczna jenerała Puzyrewskiego jest zupełnie błędną. Był on zawsze patryotą rosyjskim, ale nigdy rusyfikatorem nie był i ani na chwilę nie przestał cieszyć się uznaniem i sympatyą ks. Imeretyńskiego. Nominacya generała Puzyrewskiego na generał-gubernatora i dowodzącego wojskami połączonych dwóch wielkich okręgów turkestańskiego i zakaspijskiego nie jest jeszcze dokonaną, ale jeśli będzie dokonaną, będzie wielkim awansem. O degradacyi archijereja Flawiana również mówić nie podobna. Exarcha Gruzyi ma wyższe stanowisko w hierarchii prawosławnej, niż archijerej chełmsko-warszawski i dziesięćkroć więcej wiernych w swojej dyecezyi

Translokacya archijereja Flawiana została dokonaną wyłącznie z inicyatywy i z woli naczelnego prokuratora Synodu Pobiedonoscewa, tak samo, jak nominacya jego następcy archijereja litewskiego do Warszawy.

Korespondent *Dziennika poznańskiego* zaznacza że:

„Archirej otrzymuje bardzo wysoką godność exarchy Gruzyi, z której może już tylko przejść na jeden z trzech patryarchatów (?) w Rosyi istniejących: w Petersburgu, Moskwie i Kijowie. Generał Puzyrewski musiał też otrzymać wyższe stanowisko, dawny jego podwładny bowiem, a późniejszy szef sztabu okręgu odeskiego, został pomocnikiem ministra wojny.

„Już dawniej donosiłem wam o zamiarze nowego podziału środkowo-azyatyckich posiadłości Rosyi. Obecnie ono zostaje przeprowadzone, a gen. Puzyrewski nie otrzymuje dawnego stanowiska gen. Kuropatkina, lecz daleko obszerniejsze terytoryum pod swój zarząd.“

Tylko wiadomość o patryarchatach jest, że tak powiemy, speźnioną i przesadzoną. Spóźnioną, bo patryarchat zniósł Piotr Wielki; i, że tak powiem przesadzoną, bo nigdy nie było trzech patryarchów tylko jeden. W Moskwie, Petersburgu i Kijowie są metropolici, po których w hierarchii cerkiewnej idzie exarcha Gruzyi.

Rzecz dziwna, ale często zdarzająca się, że tego rodzaju niedorzeczne plotki powtarzają i wyprowadzają z nich wnioski pisma, które w zasadzie są polityce ugodowej przeciwne, ale ani własnych informacyi ani znajomości stosunków, ani dostatecznej powagi nie mają.

Jedno z pism, którego wymienić nie chcemy taki oto dziwoląg p. t. z Warszawy umieszcza:

Książe Imeretyński wydalił ze służby 12-tu urzędników w Król. Pol. nielubionych; redaktor urzędowego „*Dniewnika Warszawskiego*“ Maturow, przesadzony został do Timanowa. Jeżeli wiadomości te są wiarogodne, w tym razie ks. Imeretyński mógłby być panem sytuacyi.

Nazwisko redaktora *Dniewnika* Timanowskij zostało zamienione na nazwę miejscowości, redaktorem mianowano nieistniejącego Maturowa i t. d.

— *Kuryer Polski* nastroiwszy się na ton mentorski, zabrał głos w sprawie zajścia w szkole czernichowskiej i skarcił przedewszystkiem »część prasy» galicyjskiej, która zamiast odezwać się do zdziczałej młodzieży wyrazami skarcenia i upomnienia«, wystąpiła w obronie wydalonych. Ale:

„Na tem nie koniec. Jakiś pan chce narobić w tej sprawie krzyku w pismach warszawskich. Porozsyłał do redakcyj świstek papieru, i żąda wydrukowania. Rzuciliśmy ów opis do kosza, ale jedno pismo wydrukowało podobną skargę. To już przechodzi nasze pojęcie. Zkąd taki pan, pod samą Warszawą zamieszkały, może coś wiedzieć o zajściach w szkole czernichowskiej. W najlepszym razie to ojciec syna, wydalonego z powodu zdziczenia. Panicz nabroiwszy, musiał się przed ojcem wykręcać, i wszystko zwalić na dyrektora. Czyż to dowód, czy świadectwo w jakimkolwiek stopniu wiarogodne? Może zresztą owe świstki stylizował sam uczeń. Czyż więc godziło się drukować w Warszawie podobne oskarżenie, wobec niemożności bezpośredniego sprawdzenia rzeczy, mając z jednej strony świadectwo dwu znanych całemu narodowi mężów a z drugiej z zupełnym brakiem ortografii zredagowany świstek“.

Gorliwość ugodowca przedpokojowego uniosła go za daleko. Należy zaznaczyć, że z wyjątkiem lwowskiego *Przeglądu* wszystkie pisma krytykowały postępowanie władzy szkolnej i komisyi, bo nawet *Czas* zamieścił list prof. Godlewskiego napisany w tym duchu.

Powtóre ani p. Czecz, na wpółspolszczony Niemiec, ani p. Antoni Górski nie są »mężami znanymi całemu narodowi«, nawet w stronnictwie, do którego należą, nie uchodzą za luminarzy. P. Czecz jest wprawdzie »mężem« bo ma żonę, p. Górski zdaje się, tej nawet kwalifikacyi nie posiada. Zresztą autorem komunikata o zajściach w szkole i »zdziczeniu« młodzieży jest komisarz policyjny p. Dobrowolski, który chyba nawet dla p. Straszewicza nie może być powagą narodową.

A zdanie prof. Godlewskiego i prowincyała Pijarów ks. Chromeckiego, którzy za młodzieżą się ujęli, powinno stanowczo przeważyć.

To są istotnie »mężowie« znani całemu narodowi ludzie rozumni i uczciwi.

— Pisaliśmy już w numerze poprzednim, że władza duchowna zabroniła klerykom w seminaryum katolickiem w Pełplinie śpiewać znanej pieśni »Serdeczna Matko«. Zakaz jak się obecnie okazuje, nastąpił z tego powodu, że pieśń spiewa się na nutę »Boże coś Polskę«. *Gazeta Gdańska* zaznaczywszy, że pieśń zakazana jest starą i długoletniem używaniem uprawnioną, pisze dalej:

„Naraz szowinizm niemiecki w swej przebiegłości odkryć był w stanie, że ta pieśń nie jest zupełnie „rychtyk“, że jest w niej coś rewolucyjnego (o zgrozo! wierzyć się aż niechce!), bo i śpiewa się na nutę „Boże, coś Polskę“. „*Vaterland*, który tak długim odśpiewywaniem tej pieśni była *in Gefahr*“, może teraz swobodnie odetchnąć, że znów jedno niebezpieczeństwo minęło. Nie omieszka też pewnie swym „wiernym poddanym“ w Pełplinie za to wdzięczności wyrazić. W jakiej formie? czas to pokaże. Dziwić się tylko należy, że policya, która swymi bystrymi śledzi oczyma, prędzej się na tem nie połapała, i że pełplińscy jej tajni pomocnicy więcej od niej mają powodzenia. Widocznie wieleby się od nich mogła nauczyć“.

## *Z OBCEGO ŚWIATA.*

MOWA BEBLA.

W rocznicę rewolucyi berlińskiej 1848 poseł Bebel wygłosił w parlamencie niemieckim mowę, jakiej w tej izbie jeszcze nigdy nie słyszano.

Z dosyć błahego powodu, przy rozprawach nad reformą kodeksu wojskowego zaczęła się namiętna dyskusya, w której minister wojny Gossler nazwał wypadki 1848 r. »smutną kartą historyi pruskiej« a rządowiec Stumm powiedział, że »rewolucyę zrobiła hołota, głównie Polacy i Francuzi.« Te obraźliwe słowa podnieciły Bebla, który wśród wzrastającego wrzasku i pogróżek junkrów mówił:

Wy śmiecie tutaj mówić o hołocie! Czyście czytali nazwiska tych mężów, którzy wtedy walczyli o najświętsze skarby narodu? Nie było tam zagranicznych burzycieli i wobec tego śmiecie twierdzić, że rewolucyą wywołała zagraniczna hołota, że wywołali ją Francuzi i Polacy. Milion djabłów, z takiem fałszowaniem historyi, mości panowie! (Demonstracyjne oklaski u socyalistów, iście piekielny hałas na prawicy, trwający kilka minut, straszliwy zgiełk i wołanie: podłość niegodziwca). Gdyby w 1848 r. osiągnięto to, czego ówcześni bojownicy chcieli, to stałaby się niepotrzebną krwawa walka w 1870 r.

Nie cofam ani słowa z tego co powiedziałem. (Ponowny hałas na prawicy). Tem mniej nie zrobię tego, że panowie z prawicy powołują się na tak zwane źródła historyczne dla swej konstytucyi, których ja uznać nie mogę. Wspomnę tylko o znanym liście króla Frederyka Wilhelma IV. który naówczas był notorycznie chory na umyśle i nie zdolny do rządzenia i zasiadania na tronie.

Mości panowie, przyjrzyjcie się tylko liście wszystkich tych członków, których wy »hołotą« nazywacie. Czy tam nie ma nazwisk mężów, dziś jeszcze żyjących, a których wy sami zaliczacie w waszem gronie do najlepszych. Kto jest ten czerwony komunista, republikanin i ateusz, organizator rewolucyi chłopskich w ówczesnym czasie? Oto wasz uwielbiany minister v. Miquel. (Wielka wesołość na lewicy, dzwonek marszałka). A jeden z panów, który wtedy grał pierwsze skrzypce, siedzi dziś na ławie nacyonał liberałów. Powiadacie, że konstytucya jest dobrowolnym podarkiem królewskim. Przypominam zatem słowa, które król Fryderyk Wilhelm IV w kwietniu 1847 r. powiedział: »Pomiędzy mnie a mego Boga w niebie nie może się wcisnąć ani zwitek papieru jako konstytucya«. To była zupełna odmowa konstytucyi. Ale po ukończeniu rewolucyi ten sam król kazał ogłosić, że da wolność prasy, że sejm ma być zwołany i konstytucya wydana na szerokiej podstawie. A zatem tylko rewolucya przyniosła nam konstytucyę. Jeżeli nie znacie tej historycznej prawdy, to sobie ją zapiszcie na wieczną pamiątkę. Gdyby wtedy król pruski był dotrzymał słowa swego, byłyby zbyteczne walki, nie potrzebowaliśmy Bismarka do utworzenia jedności niemieckiej. Ale przecież król pruski zdradził swój lud, swego przyrzeczenia nie dotrzymał...

Po tych słowach powstał w sali piekielny hałas, posłowie zerwali się z krzeseł, a marszałek, ciągle dzwoniąc, wezwał do porządku Bebla, który, gdy się trochę uciszyło, tak mowę swoją zakończył:

»Wszystkie stronnictwa niemieckie, które spożywały z owoców rewolucyi (1848) tutaj milczą. Pan Puttkamer wywołał książąt z bożej łaski. A któż to w roku 1866-tym tych książąt z bożej łaski na cztery wiatry rozpędził?! (*zum Teufel hat gejagt*). Otóż książę z bożej łaski, król pruski. Więc i lud równe do tego ma prawo«.

## *KRONIKA.*

= Namiestnikiem Galicyi został poseł hr. Piniński, który nie zajmował poprzednio wybitnego stanowiska urzędowego, był bowiem profesorem na wydziale prawnym w uniwersytecie lwowskim. Hr. Piniński jest, ma się rozumieć, z przekonań konserwatystą, w sejmie jednak próbował porozumiewać się z posłami ludowymi.

= Redaktor pisma *Praca* w Poznaniu, p. Rakowski starszy skazany został, jak o tem pisaliśmy, na 3 miesiące więzienia za wiersz humorystyczny, teraz syna jego, p. Rakowskiego młodszego, który zastąpił ojca, skazał sąd za zamieszczenie wiersza „Do braci Słowian“ na 4 miesiące więzienia, chociaż prokurator żądał tylko miesiąca aresztu.

= *Moskowskija Wiedomosti* zamieściły niedawno skargę mieszkańców kilku wsi pod Brześciem litewskim, których tryumfujący katolicyzm prześladuje za przywiązanie do wiary prawosławnej. W liczbie tych wsi jest wymieniony Łobaczów, którego mieszkańcom komendant twierdzy Brześć teraz właśnie odmówił prawa nabywania ziemi w kilkumilowym pasie fortecznym, „ponieważ uporczywie trzymają się katolicyzmu“.

= W powiecie bytowskim na Pomorzu pp. Brejski i Kulerski urządzili dwa wiece w Ugoszczu i Pisznie, na które przybyło sporo ludu. Przy wyborach do parlamentu postanowiono głosować na p. Kulerskiego.

= W Pudłowie pod Boguminem założyli przedsiębiorcy niemieccy fabrykę, do której sprowadzili robotników wyłącznie Niemców. Cicha wieś polska zamieniła się w osadę niemiecką, w szkółce dotychczas polskiej zaprowadzono wykład niemiecki. Robotnicy Niemcy, korzystając z przewagi, napadają na Polaków, wdzierają się do domów i robią awantury. O tem, co się tam dzieje, świadczy najlepiej fakt, że już 30 awanturników pociągnięto do odpowiedzialności za najścia domów. Dzieci niemieckie w szkole postępują tak samo. *Gwiazdka cieszyńska* drukuje list ucznia Niemca do kolegi. Młody kulturtreger pisze, że teraz, gdy Niemcy mają przewagę liczebną w szkole, „będą tak bili Polaków, że aż paździerze z nich polecą“, że od kułaków czas przejść do noży. Większość Niemców stanowią poddani pruscy.

= P. Kosiakiewicz twierdzi, że dlatego wyrzucono go z *Kuryera polskiego*, ponieważ nie chciał iść tak daleko w polityce ugodowej, jak mu kazano. I to może być prawdą.

= W okręgu V. kuryi powiatów Sanok — Dobromil — Lisko — Brzozów — Stare miasto — Jasło — Krosno po śmierci posła Wysockiego zawakował mandat. Kandydatem stronnictwa ludowego jest Jan Stapiński, który przy poprzednich wyborach upadł dopiero w drugiem głosowaniu, mając znaczną mniejszość. Ks. Stojałowski popiera niejakiego p. Włodzimierza Lewickiego, eks-radykała i eks patryotę. P. Lewicki był stypendyatem Muzeum w Rapperswylu potem ludowcem, obecnie zaś jest adjutantem moskalofila ks. Stojałowskiego.

= W Sofii w Bułgaryi zmarł dr. Leon Wasilkowski, wychowaniec uniwersytetu warszawskiego, głośny przed 10 laty i później w kołach młodzieży, b. redaktor krakowskiego *Ogniska*.

= Minister Miquel w rozmowie z posłem Komierowskim, o której przed miesiącem wspomnieliśmy, zapewniał, jak niedawno wyjaśniono, że „Rosya nic dla Polaków nie zrobi“ i radził pogodzić się z rządem pruskim i z istniejącym stanem rzeczy.

## *SKŁADKI.*

Na pomoc naukową dla wydalonych z uniwersytetu warszawwskiego studentów w dalszym ciągu nadesłano:

Grono nafciarzy za pośrednictwem redakcyi „Nafty“ we Lwowie 17 zł. 50 ct.

Towarzystwo polskie w Genewie 25 franków.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor **dr. Ernest Adam.**